



# DZIŚ i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 23 listopada 1952 r.

Nr 47 (365)

Maciej Józef KONONOWICZ

Andrzej JOCHELSON

W NUMERZE m. in.:

T. ZANIEC — Rewolucja i kontrrewolucja w Powstaniu Listopadowym  
M. NOWACKI — Wybory amerykańskie  
Z. LICHNIAK — Epos tragiczny  
A. GERARD — Benefis życia  
S. BŁAUT — Pogłosy schematyzmu  
J. DUŻYK — Trzy dni na Warmii

### W ramionach srebrnych rzek

Ostrów Tumski, pierścień srebrnej Odry  
Bardziej drogi nad inne klejnoty,  
Bił w niebiosa strzelistym akordem,  
Mając w kluczu pięciolinię — gotyk.

Ostrów Tumski odbijała co dzień  
Srebrna Odra w podwódnym zenicie —  
Noc bezgwiezdna, nieuchwytny złodziej,  
Kradła z wyspy Tum — z Odry odbicie.

Więc szalała Odra w zgasłym mieście,  
Rozszczepiając się i wielokrotniąc,  
By o świecie zagubiony pierścień  
Ramionami stęsknionymi objąć.

Aż nadeszła noc z piorunem w rękę:  
Tum się zachwiał, wdarł się słup powietrza:  
Odra była jak sztandar bez herbu,  
Niebo było jak sztandar bez drzewca.

W morzu ruin — topniejące wieże,  
W morzu ruin — wrak z Bolkowej floty —  
Chociaż ranny, jest Arką Przymierza,  
Która łączy słowiańskie epoki.

Odra czeka na tych, którzy przyjdą,  
Których dłonie natchnione są sieją —  
Oto idą, by w górę podźwignąć  
Ostrów Tumski, odzyskany klejnot.

Powtarzają kształt cegła za cegła,  
Jak powtarza się słowa pacierza,  
Aż się wspiewa linią niepodległą  
Kształt gotycki w rymowanych wieżach.

Powtarzają kształt tym samym głazem,  
Wyluskany spod kamieni pruskich —  
Odra śledzi każdy gest murarza  
I przenosi na srebrzyste łuski.

★

Mocna twarz. Kamienna twarz.  
Nie pokruszył jej czas i płomień —  
Cięta dłutem walki i trosk  
I policzkiem — z królewskiej dłoni.

Mocną twarz, kamienną twarz  
Wyrzebali z gruzów — modlitwą  
Spod milczenia, spod obcych lat  
Twarz Nankiera z biskupią mitrą.

Mocna twarz. Wargi jak łuk  
I w łuku warg strzelista kłątwa —  
Z ludem byłęś. Z Tobą był lud,  
Kościół. I Polska.

Mocna twarz. Kamienna twarz  
Na Ostrowiu Tumskim, nad Odry —  
Lud powrócił. I Ojciec Nasz  
Nadbużańską śpiewa prozodją.

A tu tyle krzyżackich gróźb,  
Świątobliwy, polski biskupie!  
Brak nam Twoich kamiennych słów  
I warg Twoich, napiętych łukiem...

★

Srebrnym rzekom w różane brzaski  
Z brzegów stromych patrzyłem w twarz —  
Rzekom były na dnie, pod piaskiem,  
Serca, których nie zmienił czas.

Nyso-włosa, wartka i ostra,  
Diamentem cięła płyty skał —  
Odro-oka, dudniąc po mostach,  
Wiodła mewy połyskiem fal.

Błysk bagnetu, stalowa łuska,  
Grot kotwicy, kolczasty drut  
Rzekom srebrnym raniły usta,  
Usta Odry i Nysy — sióstr.

Pomyślałem: brzegów granicznych  
Nie rozłupie krzyżacki cios —  
Z wyzwolonej Odry i Nysy  
Dźwiga przesła skrzydlaty most.

Z poranionej Odry i Nysy  
Cierń stalowy — kolczasty drut  
Wydobywa dłonią najtkliwszą  
Niepodległy i wolny lud!

### Współczesna plastyka polska w archikatedrze wrocławskiej

NIE wiem, czy jest jakiś kościół w Polsce poza katedrą wrocławską, który by obok dziesiątków zabytków różnych epok i różnych stylów miał tak okazałą ilość dzieł współczesnej plastyki polskiej. Mam tu przede wszystkim na myśli dwanaście płócien w ołtarzach bocznych kaplic.

Dwanaście tych dzieł pędzla współczesnych polskich malarzy to niemal wystawa współczesnej polskiej sztuki religijnej. Dodajmy do tego witraże prof. Tadeusza Wojciechowskiego, a otrzymamy zjawisko o wysokiej wartości artystycznej.

Niezależnie od osądu poszczególnych obrazów, już sam pomysł zainteresowania polskich malarzy tematyką religijną pozostanie niepożyłą zasługą ordynariusza wrocławskiego ks. infułata Kazimierza Lagosza. Pomysł ten zapewnił odbudowanej Archikatedrze po wieczne czasy pieczęć polskości.

W pracach nad upiększeniem katedry wzięli udział artyści z Krakowa, z Łodzi, z Gliwic, z Poznania, z Wrocławia i z Kazimierza nad Wisłą. Z Krakowa — wspomniany już wybitny witrażysta Tadeusz Wojciechowski i Kacper Pochwański, z Łodzi — Leon Gerzabek, z Gliwic Irena i Zygmunt Acedańscy, z Poznania — Włodzimierz Bartoszewicz, z Kazimierza nad Wisłą — Antoni Michalak, z Wrocławia: Wacław Błażejowski, Stanisław Dawski, Eugeniusz Geppert, Hanna Krzetuska-Geppertowa i Stanisław Pękalski.

Przedstawiają oni szeroką skalę sposobów artystycznego wyrażania się. Naturalizm reprezentują dwa płótna Włodzimierza Bartoszewicza z Poznania. Bliskie są ideałom malarstwa lat osiemdziesiątych zeszłego wieku. Jedno z tych płócien przedstawia bł. Kingę i św. Barbarę; u stóp obydwu świętych — górniczy, podają produkty swej pracy: sól i węgiel. Drugie płótno przedstawia św. Kazimierza. W przeciwieństwie do pierwszego obrazu, obraz ze św. Kazimierzem robi wrażenie roboty pośpiesznie kończonej, niepozbawionej błędów rysunkowych. Nad św. Kazimierzem wymalowana jest w predelli Najświętsza Maria Panna. Obydwa duże płótna artysty są utrzymane w kolorach chłodnych. Harmonizują dobrze z szarosiłymi marmurami oprawy ołtarzowej.

W sąsiedztwie św. Kazimierza znajdują się ołtarz ku czci św. Jadwigi, św. Jana i bł. Czesława. Malowidło ołtarzowe jest dziełem Ireny i Zygmunta Acedańskich z Katowic. Utrzymano je w kolorach bardzo jasnych, chciało by się powiedzieć radosnych. Kompozycję tę cechuje klasyczna prostota. Długie, zamasywane linie, duże przestrzenie traktowane jednymi barwami, rysunek nieco uproszczony, bez zawiloci, wyraźnie obrysowane kontury. Uśmieczone oblicza świętych, przyjemne jasne kolorowe ich postacie wydają się dodatkiem walorem tego obrazu.

NASTĘPNA grupa 8 płócien reprezentuje kierunki bardziej współczesne: znajdujemy tu malarzy, którzy kładą akcent na linearność rysunku lub malarzy akcentujących kolor. Najpierw omówimy trzy obrazy Antoniego Michalaka z Kazimierza nad Wisłą. Obraz przedstawiający św. Wojciecha jest spokojny, jakby swym spokojem i powagą odpowiadał dostojności misji Wielkiego Apostoła trzech narodów. Malowidło przedstawiające św. Jana Ewangelistę jest potraktowane linearnie. Diagonalna kompozycja, gwałtowny przebieg linii ma sugerować treść Apokalipsy, której pisanie obraz przedstawia. Oba obrazy przeniesione na technikę rytowniczą, zwłaszcza drzeworytniczą, dałyby świetne ryciny. Niestety, świetność pomysłu kompozycyjnego pomniejsza wielka powierzchnia płócien, a co ważniejsze nieprzyjemne dla oka zestawienie kolorów o przewadze brązu. Zestawienie tych barw z ultramaryną i fioletem wywołuje kolorystyczny zgrzyt. Nad świętym Janem odmalowana wizja świętej Trójcy z dużymi koncesjami

brązów z szeroką gamą chłodnych, zgaszonych zieleni. Leśny pejzaż umieszczony w górze po lewej stronie obrazu, romantyczny w nastroju, odpowiada na zasadzie kontrastu zimnej plamie ciemno-niebieskiego ubrania chłopczyka. Mimo umieszczenia świętego Pustelnika po lewej stronie obrazu udało się artyście skoncentrować uwagę widza na tej postaci, zwłaszcza zaś na dziwnie prawdziwym, pełnym ekspresji i świadczącym o ascezie obliczu świętego. Brak kolorystycznych zgrzytów jak w obrazie św. Jana i kunsztowniejsza kompozycja przy bardziej subtelnym zestawieniu kolorów wysuwają to płótno na czoło dzieł Antoniego Michalaka.

Najliczniejszą, lecz zarazem najdojrzałą artystycznie grupą są kolorysty: Leon Gerzabek, Stanisław Dawski, Eugeniusz Geppert i Hanna Krzetuska-Geppertowa. Prace tych artystów zdradzają wyraźnie przynależność do jednej szkoły. Wszystkie cechuje poważny stosunek do problematyki wewnętrznej obrazu i doskonale operowanie kolorem. Niewątpliwie płótna te artystycznie górują



Stanisław Dawski — św. św. Piotr i Paweł

na rzecz bizantyzmu nie zgadza się z gwałtowną trójwymiarową postacią św. Jana.

Trzeci obraz Michalaka przedstawiający św. Andrzeja Żółtka-Swierada o ciekawym, podobnie — jak w tamtych dwóch obrazach, rysunku, odznacza się ponadto trafnie dokonanym zestawieniem kolorów i czytelną kompozycją. Główna płaszczyzna obrazu daje grę różnych odcieni ciepłych

ją nad poprzednio omówionymi, aczkolwiek i one nie są bez wad.

Eugeniusz Geppert znany batalista odznacza się moim zdaniem niezwykle subtelną w odcieniach i bogatą w gamie paletą. Wyszukana, świeża zieleni, stanowiąca główne tło obrazu św. Franciszka z Assyżu świetnie harmonizuje z dużą brązową plamą po-

(Dokończenie na str. 8)

## Graham Greene do Charlesa Chaplina

Drogi Panie Chaplin,

MAM nadzieję, że wybaczy mi Pan list otwarty: wysłany bowiem zwykłą drogą, powiększyby jedynie piramidę przyjacielskich listów, jakie z pewnością czekają na Pana w Londynie. Listem tym witam Pana nie tylko jako największego artystę ckranu (jedynego człowieka, który sam pisze i reżyseruje swoje sztuki, w których sam występuje i do których komponuje nawet muzykę), ale jako jednego z największych liberałów naszych czasów. Filmy Pańskie zawsze tchnęły współczuciem dla słabych i wydziedziczonych; zawsze godziły ostrzem satyry w tych, co się nad nimi znęcają. Ku naszemu żalowi i zdziwieniu osiedlił się Pan w Stanach Zjednoczonych, wyświadczył temu krajowi największy zaszczyt, jaki Pan mógł wyświadczyć; a teraz boli nas — ale nie dziwi — sposób w jaki Amerykanie okazują Mu swoją wdzięczność — oczywiście nie naród amerykański, ale władze, które jak się zdaje, słuchają rozkazów takich ludzi jak McCarthy. Gdy Rosja została napađnięta, przemawiał Pan, na prośbę swego prezydenta, w jej obronie na wiecu w San Francisco; nie była to chwila odpowiednia dla retorycznych zwrotów w obronie klauzul i słowa Pańskie były tak proste jak słowa Roosevelta. Miał Pan nawet czelność nazwać swych słuchaczy „towarzyszami”. Jest to największe oskarżenie przeciwko Panu. Ciekaw jestem, gdzie był wówczas McCarthy?

Pamiętając czasy terrorku w Anglii, gotów jestem przypuszczać, że katolicy w Stanach Zjednoczonych, którzy stanowią potężną organizację, okażą Panu współczucie i pomoc. Na pewno jeden katolicki tygodnik w Ameryce nie będzie milczał — mam na myśli „Commonwealth”. Ale kardynał Spellman? A dygnitarze kościelni? Nie mogą zapomnieć amerykańskiego standardu opartego o ambonę w jednym z kościołów katolickich w Stanach Zjednoczonych niedaleko miejsca, gdzie Pan mieszka; i pamiętam również o tym, że McCarthy jest katolikiem. Czyżby katolicy w Stanach Zjednoczonych nie dosię się niecierpieli, aby przeciwstawić się stanowczo tej kampanii niemilosirdzia?

Gdy gościł mnie Pan wtedy u siebie w domu, zaproponowałem, by Charlie ukazał się raz jeszcze na ekranie. W tym wymagowanym filmie Charlie leży opuszczony i zapomniany na nowojorskim poddaszu. Nagle zostaje wywołany z mroku wspomnienia przed Komisję do Badań nad Działalnością Antyamerykańską w Waszyngtonie, by odpowiedzieć za swoją przeszłość — za podejrzaną scenę na ringu, za ślizgawkę, za to, że łyśną głowę senatora wziął za tort mroźny, za całe ukryte znaczenie tańca z bułkami. Członkowie Komisji z powagą oglądają wczesne filmy Charliea Chanlina. skrzętnie notując swe krytyczne uwagi.

Wyśmiał Pan mój pomysł, a ja również nie myślałem o tym, że punkt kulminacyjny jeszcze nie nastąpił. Dostarczył go prokurator generalny Stanów Zjednoczonych. Bowiem przy końcu przesłuchania Charlie z pewnością będzie mógł przyznać, że jest na prawdę antyamerykaninem i okazać paszport obcokrajowca.

Grupa postaci hollywoodzkich, z których niektóre już powychodziły z mody (wśród nich pp. Louis B. Mayer i Adolf Menjou), utworzyła niedawno fundusz pomocy dla akcji McCarthy'ego w stanie Wisconsin. Ponieważ Hollywood wykorzystuje angielskie utwory i angielskich aktorów, chciałbym, aby moi rodacy odmawiali sprzedaży swych sztuk lub uczestniczenia w filmach popieranych przez jakakolwiek organizację, do której należą ci przyjaciele łowców czarownic. Nasza akcja będzie wyrazem tylko naszej opinii; nie skaże ona nikogo na bezrobocie i przymieranie głodem, na jakie McCarthy skazał niektórych ich kolegów. Mogą oni powiedzieć, że to nie jest nasza rzecz. Ale nieszczęście naszego sojusznika jest naszym nieszczęściem, i atakując Pana, łowcy czarownic wyraźnie potwierdzili, że ta sprawa dotyczy nie tylko jednego narodu. Nietolerancja w jednym kraju jest zamachem na wolność na całym świecie.

Z wyrazami podziwu

GRAHAM GREENE

# Międzynarodowa Konferencja w Berlinie

Wywiad z ks. prof. Eugeniuszem Dąbrowskim — delegatem Polski

W DNIACH 8—10 listopada br. obradowała w Berlinie Międzynarodowa Konferencja w sprawie pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego. Inicjatywa zwołania konferencji wyszła przed rokiem z Francji. W trakcie spotkań w Strassburgu i Kolonii przedstawiciele społeczeństwa francuskiego z przedstawicielami wschodnich i zachodnich Niemiec ustalono, że w konferencji winni wziąć udział reprezentanci możliwie najszerszego wachlarza światopoglądów i orientacji politycznych z państw sąsiadujących z Niemcami lub bezpośrednio zainteresowanych w uniemożliwieniu raz na zawsze odrodzenia imperializmu niemieckiego.

Wskutek przeszkód stawianych kolejno przez rządy Danii i Szwecji konferencja nie mogła się odbyć ani w Kopenhadze ani w Sztokholmie, jak poprzednio projektowano. Decyzją Komitetu Inicjatywy postanowiono zwołać konferencję do Berlina. Obrady w których wzięło udział 200 delegatów z 12 państw europejskich — wykazały, że fakt zwołania konferencji właśnie do stolicy Niemiec nader pomysłnie zauważył na jej przebiegu, wyudatniając szczególne zainteresowanie samych Niemców postanowieniami dotyczącymi lepszego losu ich ojczyzny.

Katolików polskich na Konferencji Berlińskiej reprezentowali wiceprezydenci Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolickich ks. prof. Eugeniusz Dąbrowski i naczelny redaktor „Dziś i Jutro” — Dominik Horodyński. Ks. prof. Dąbrowski, który zasiadał w prezydium Konferencji i przewodniczył jednemu z jej plenarnych zebrań udzielił przedstawicielowi naszego pisma wywiadu, który niżej publikujemy.

— Czy w związku z faktem zasiadania w prezydium Konferencji mógłby nam ks. Profesor powiedzieć w czym organizatorzy i kierownictwo Konferencji upatrują główną

szansę zapewnienia skuteczności powziętym uchwałom?

— W berlińskich obradach da się wyróżnić dwa rodzaje prac. Pierwsze obejmowały dyskusje na zebraniach plenarnych, drugie miały charakter organizacyjny i wyznaczały działalność prezydium oraz wyłonionych w trakcie obrad Komisji. Tak więc np. dziełem prezydium było zredagowanie ogólnie dziś znanych rezolucji Konferencji. Zostaną one odczytane poszczególnym rządóm i parlamentom państw bezpośrednio zainteresowanych problemem niemieckim. Biorąc pod uwagę powszechne poglądy i nastroje wśród szerokich rzesz opinii publicznej narodów, których żywo dotyczy pokojowe i demokratyczne rozstrzygnięcie problemu niemieckiego, sądzę, że niełatwo będzie przejść do porządku dziennego nad uchwałami powziętymi przez szereg tak wybitnych i reprezentatywnych osobistości.

— Jak się przedstawiał udział katolików w Konferencji Berlińskiej?

— Wręcz imponująco. Na Konferencji były reprezentowane bardzo liczne organizacje i pisma katolickie Belgii, Francji, Austrii i Niemiec zachodnich. Wystarczy powiedzieć, że naczelny redaktor „Esprit” Jean Marie Domenach był jednym z najbardziej aktywnych organizatorów konferencji, w której ponadto wziął udział redaktor „Temoignage Chretien” — Baboulene i szereg innych przedstawicieli duchownych i świeckich katolicyzmu francuskiego. W delegacji zachodnio-niemieckiej liczebną przewagę mieli księża, pisarze, i działacze katolicy.

— Czy zdaniem Ks. Profesora można mówić o jakimś znaczącym wkładzie przedstawicieli Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolickich przy PKOP w dzieło Konferencji?

— Wkład przedstawicieli Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolic-

kich, o który Pan pyta, był znaczny i zgodnie podkreślony przez prasę różnych kierunków. Miałem zaszczyt przewodniczyć jednemu z plenarnych posiedzeń Konferencji, co pozwoliło mi w niejednym punkcie zaznaczyć stanowisko katolików polskich w tak żywo obchodzącej cały naród polski sprawie.

— Które z postanowień Konferencji wydaje się Ks. Profesorowi najbardziej znaczące?

— Bezsparnie najpoważniejsze znaczenie ma ten punkt rezolucji, który domaga się zaniechania ratyfikacji układu ogólnego, względnie unieważnienia go tam, gdzie ratyfikacja została już dokonana. To jest problem centralny, nie mówiąc oczywiście o sprawie wyborów w Niemczech i sprawie zjednoczenia Niemiec, wiążących się ściśle z udaremnieniem tendencji rewizjonistycznych i militarystycznych tak złowroźnie potęgujących się w Niemczech zachodnich.

— Czy skład delegacji zagranicznych a w szczególności skład delegacji zachodnio-niemieckiej można uznać za dostatecznie reprezentatywny dla poglądów powszechnych u większej części tamtych społeczeństw?

— Konferencja Berlińska była wydarzeniem nie znajdującym analogii wśród dotychczasowych prób dyskusowania problemu niemieckiego. Udział przedstawicieli najróżnorodniejszych warstw społecznych i orientacji ideologicznych stanowił jej rys najbardziej znamienity. Jeżeli chodzi o interesującą Pana sprawę przedstawicielstwa Niemiec zachodnich to należy podkreślić, że były one w Berlinie reprezentowane najliczniej. Nie sposób tutaj wymienić wszystkich uczestników tej delegacji. Trudno jednak pominąć takie nazwiska jak b. kanclerza Republiki Weimarskiej dr. Wirtha, b. nadburmistrza Monachium Wilhelma Elfesa, znanej pisarki i działaczki katolickiej dr. Marie Fassbinder, czy niemiecki znany pastor Niemollera. Sumując, jeżeli chodzi o problem reprezentatywności delegacji zachodnio-niemieckiej, to trudno było o reprezentację bardziej liczną i bardziej wymowną.

Warto jeszcze może podkreślić, że przedstawiciele Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolickich spotkali się z przedstawicielami katolików z zachodnio-niemieckiej w obecności generalnego sekretarza partii chrześcijańsko-demokratycznej (CDU) Geralda Göttinga oraz katolików z Belgii i Francji.

— Co będzie stanowiło następny etap prac zainicjowanych przez Konferencję Berlińską?

— W myśl powziętych uchwał prezydium Konferencji ukonstytuowało się w stały Sekretariat mający czuwać nad realizacją postanowień Konferencji. Będziemy pilnie śledzili dalszy bieg wypadków i starali się w porę reagować na decydujące dla dalszego rozwoju problemu niemieckiego wydarzenia.

Rozmowę przeprowadził  
Mikolaj Rostworowski

N	INSTYTUT	N
WYDAWNICZY		
O	„PAX”	O
W	Zygmunt Lichnlak	W
O	POETA	O
S	KONSEKWENCJI	S
C	Rzecz o Jerzym Liebercie	C
	Cena zł. 12.—	
	Do nabycia w Bluzie	
	Sorzedzawy Inst. Wyd.	
	„Pax”, Warszawa Moko-	
	towska 43, P.K.O. Nr 1-8515	

## PRZEGLAD PRASY

### Sztuka kościelna czy urządzanie wnętrza kościelnych?

S TOSUNKOWO niedawno wydana przez Kongregację Świętego Oficjum „INSTRUKCJA W SPRAWIE SZTUKI RELIGIJNEJ” czyni ten temat szczególnie aktualny. Rzecz jasna „Instrukcja” zawiera jedynie ogólne nakazowanie tego donosiego zagadnienia i nie można spodziewać się po niej całkowitego rozwiązania najbardziej palących problemów, jakie nawiązują się w związku z próbami wprowadzenia sztuki współczesnej do wnętrza kościołów. To rozwiązanie może być osiągnięte tylko w drodze praktycznych realizacji i udanych osiągnięć.

W numerze 45 „Tygodnika Powszechny” zajmuje się ta sprawa w artykule pobra ks. Jana Popiela. Rozważając naprzód ogólne sprawy związane z tym tematem omawia on dalej przykład kościoła w Gronkowie, w którym jego zdaniem na ożył trafnie rozwiązane zostały trudności współczesnego a jednocześnie zgodnego z duchem tradycji katolickiej urządzania wnętrza kościoła. Artykuł ten pobudza do refleksji i, jak sądzę, wymaga w pewnych punktach polemiki.

Ks. Popiel zaczyna od obszernego cytatu zaczerpnętego z wspomnianej „Instrukcji”, który staje się niejako mottem dalszych wywodów. Zadaniem sztuki kościelnej jest według tego cytatu „JAK NAJPIĘKNIEJ ZDOBIEĆ DOM BOŻY”. Sformułowanie to ze wszech miar trafne, jeżeli chodzi o praktyczne zagadnienie podniesienia poziomu estetycznego wnętrza kościelnych — musi budzić zaradnicze zastrzeżenia, gdy zostało potraktowane przez autora artykułu jako punkt wyjścia do ogólnych rozważań nad odrodzeniem sztuki kościelnej.

Sztuka i zdobnictwo są ze sobą ściśle związane i bardzo często nieodłącznie nierozerwalnie między nimi. Podziału To, co dla jednego jest

wyłącznie dekoracją, dla kogoś innego może być źródłem prawdziwych i głębokich przeżyć artystycznych. Równocześnie jednak sztuka i zdobnictwo dzieli przepaść. Mimo ciągłego przenikania się tych pojęć jest groźnym nieporozumieniem używanie ich zamiennie. Nie jest to tylko zagadnienie semantyczne. Nie poruszam tej sprawy dla satysfakcji „chwytania za słowa”.

W najbliższym moim przekonaniu głównym (by nie powiedzieć jedynym) warunkiem odrodzenia sztuki kościelnej jest odnalezienie współczesnego wyrazu artystycznego autentycznych przeżyć religijnych twórcy.

Wysunięcie tego punktu nie prowadzi bynajmniej do lekceważenia odbiorcy i sprawy recenzansu sztuki. Uwazamy go za warunek główny bo bez jego spełnienia w ogóle nie ma sztuki. I właśnie troska o społeczną rolę sztuki każe stawiać na pierwszym miejscu sprawę ładunku poznawczego i emocjonalnego zawartego w dziele sztuki.

Współczesna epoka (przynajmniej dzięki rozwojowi techniki) przyniosła bardzo słuszną rehabilitację, tzw. sztuki użytkowej i pozwoliła w najbardziej lekceważonych dziedzinach działalności artystycznej odnaleźć wielkie wartości sztuki. Czy jednak w jakiejś mierze zatarło to świadomość jej celów? Przeciwnie, świadomość ta wzrosła i dziś żaden artysta nie może bez narażenia swej twórczości na degenerację stawiać sobie wyłącznie dekoracyjnych założeń.

Istotna sprawa zbliżenia religii i sztuki tkwi bynajmniej nie w problemie, na jakim stylu trzeba oprzeć się, czy też w jakim kierunku iś mają poszukiwania estetycznego urządzania kościołów. Chodzi o to, by przedmowa religijna znajdowała pełny wyraz w twórczości artystycznej, by treści

religijnych — prawd mobilizowały współczesnego człowieka do wypowiedzenia ich językiem sztuki: językiem właśnie najbardziej adekwatnym w stosunku do religijnych przeżyć. Niezrozumienie tych spraw i czysto utilitarny stosunek do roli artysty w kościele leżą u podstaw niepokojącego zjawiska rozejścia się dróg religii i sztuki.

Oczywiście ks. Popiel porusza także konieczność przeżywania przez artystów tematyki religijnej, którą mają podjąć. Sprawy te są jednak w jego artykule potraktowane jak gdyby ubocznie, przez co naszym zdaniem naruszona została właściwa hierarchia zadań w wielkim dziele odrodzenia sztuki religijnej.

Ważna bowiem sprawa estetyki kościelnych wnętrza jest funkcja istotnego nurtu sztuki religijnej. Jeżeli artysta zostanie pobudzony do twórczego wypowiedzenia swych religijnych przeżyć, wówczas niejako automatycznie musi przyniść w skład za tym piękną dekoracją świątyni.

Rozważania na temat sztuki kościelnej muszą więc koncentrować się wokół spraw samej twórczości a sprawą wtórną jest jej użycie i zastosowanie. „Instrukcja”, o której mowa porusza wiele spraw bezspornych i niezwykle ważnych, zwraca uwagę na estetyczne urobienie kapłanów, zaleca tworzenie komisji mających pieczę nad rozwojem sztuki kościelnej. Jest to jak wspomnieliśmy zwrócenie uwagi na doniosłość i palący charakter tego zagadnienia, oraz powzięcie ważnych postanowień natury organizacyjnej. Jeżeli idzie o meritum sprawy „Instrukcja” formuje przede wszystkim sądy ogólne. I słusznie. Obejmuje bowiem swym zasięgiem różne kraje i obowiązujące będzie w ciągu dłuższego czasu. Tym niemniej wiele spraw istotnych czeka na rozwiązanie. Powiedziiano jest tam, że

należy wystrzegać się wszystkiego, co nosi cechy prostactwa i niestaranności. Zważymy, jak szerokie pole interpretacji wyłania się w związku z takim sformulowaniem. Wiemy przecież, że tymi właśnie argumentami prostactwa i niestaranności szermowano, starając się zdeprecjonować najwzwyższe osiągnięcia sztuki współczesnej.

Podaję to tylko jako przykład rozległości problematyki, która oczekuje na wyjaśnienie. Wydanie instrukcji otwiera więc szerokie pole poszukiwaniom własnej interpretacji ogólnych zasad.

W świetle zaledwie tu zarysowanych najważniejszych spraw dotyczących wewnętrznych dyspozycji artysty do podejmowania tematyki religijnej, we właściwych proporcjach rysują się współcześnie podejmowane prace nad projektowaniem kościołów.

Nie znaczy to wcale, aby należało bagatelizować istniejące próby realizacji. Dostarczają one cennych precedensów i doświadczeń. Wydaje się jednak konieczne podkreślenie, że jakkolwiek cel zbliżenia istotnego nurtu sztuki do religii jest bardzo odległy, nie można go ani na chwilę tracić z oczu. Nawet tak wzniosłe zadanie jakim jest zdobienie świątyni nie może być traktowane utilitarnie. Sztuka zawsze jest i musi być potrzebna, jest więc zawsze w pewien sposób użytkowa. Jeżeli jednak jest tylko użytkowa — nawet w służbie najwyższych celów — przestaje być sobą.

Gdyby omawiany artykuł traktował sprawę urządzania wnętrza kościołów nie mielibyśmy żadnych zastrzeżeń, ponieważ jednak dotyczy on jak głosi tytuł „Problemów współczesnej sztuki kościelnej” te uwagi wydały nam się koniecznym uzupełnieniem skądinąd cennych myśli ks. Popiela. (aka)

Tomasz ZANIEC

# REWOLUCJA I KONTREWOLUCJA W POWSTANIU LISTOPADOWYM

„Nie gabinety, ale ludy są naszymi sprzymierzeńcami...“ (M. Mochnacki, 19.8.1831 r.) *Insurrekcję trzeba zamienić na rewolucję społeczną...*“ (15.2.1831 r.)... „Nie niemożliwy, ale nieumiemy“ (M. Mochnacki, Paryż 1832 r.).

**D**RAMAT dziejowy powstania listopadowego niezwykle wiąże się z tragizmem, jak i owiewa życie Maurycego Mochnackiego. W ciągu całej działalności Mochnackiego szła za nim zawiść, pechałoby wołało go potwarze i krok w krok,

beckiego, dalej profesor filozofii Lach-Szyrma, śmiesznie bezmyślna postać na straży Chłopińskiego, potem zebranie „rewolucjonistów“ w Lublinie, potem ksiądz Puławski, wreszcie generał Chrzanowski, a następnie generał Krukowiecki. Zostaje śmiertelnie ranny pod Ostrołęką, kule pięciokrotnie przyszywają jego ciało, a uszkodzone płuca żre gruźlica. Skazany zaocznie na emigracji na śmierć wyrokiem cara, żyje w nędzy materialnej i trwocze o najbliższych, którzy zostali w kraju. A w tej goryczy życiowej najbliższymi byli zawsze ojciec, matka i brat, inni przychodzili i odchodzili.

Jedynym żywiołem Mochnackiego było nieustanne tworzenie, siła twórcza pchała go nieustannie naprzód, a romansem jedynym była walka o wyzwolenie polityczne i społeczne Polski. Od nocy 29 listopada 1830 r. przeżył Mochnacki całą epokę, wyniesienia jak się już zdawało na szczyty wpływu na bieg powstania i z zawrotną szybkością spadł wydrwiony i zagrożony śmiercią z ręki rodaków. Bez bliźszego wniesienia w wypadki tych dni nie sposób pojąć ani dalszych losów rewolucji, ani dalszej działalności Mochnackiego.

Zanim jednak dotknie tych wypadków przypomnę, że Mochnacki był nie tylko pierwszym rewolucjonistą w powstaniu listopadowym, ale równie pierwszym w Polsce krytykiem ideologii klasyków w literaturze, czołowym bojownikiem literatury postępowej, jaką w warunkach ucisku caratu, ucisku ludów Europy, był rewolucyjny romantyzm.

Wystarczy przypomnieć, że wydanie w roku 1827 przez Mickiewicza „Sonetów Krymskich“, jak niemal wszystko, co Mickiewicz w tym okresie pisał, przywitała w prasie warszawskiej wgardliwa cisza obojętności. Głos Mochnackiego zabrzmiał w tej ciszy jak piorun. „Jest to szacowny zbiór — pisze w „Gazecie Polskiej“ — najniepospolitszych piękności, co do stylu poetyckiego i harmonii rytmów, tudzież ze względu mowań obrazów głębokich uczuć i poważnych myśli... sonety są tworem kołosalnej imaginacji, miotanej burzą wspomnień wód fenomeńów przyrodzenia... Wszelkie wstrząśnienia w świecie literackim, w którym tak długo panowała cisza, są pożyteczne. Mickiewicz przewodzi ciśnie, wpływał na opinię młodzieży, a jeżeli będziemy mieli literaturę i poczę orężną — jemu ją będziemy winni!“

Żeby zrozumieć burzę, jaką wywołały te oczywiste dziś dla nas słowa, a zbrodnicze w przeknaniu klasyków, a nawet Brodzkiego, oddajmy głos Kajetanowi Koźmianowi, jednemu z wyrazieli opinii klasyków, opinii w literaturze przeważającej, a przez społeczeństwo jeszcze nieraz nieprzezwyciężonej: „Nie wiem co w sonetach — pisze Koźmian — można znaleźć dobrego, wszystko bezcenne, podłe, brudne, ciemne; wszystko może krymskie, tureckie, ta tarskie, ale nie polskie. To jest sto razy gorsze niż wszystkie Marcinkowskie plody. Marcinkowski jest plaski i wierszokleta prawdziwy. Mickiewicz jest półgłówek, wypuszczony ze szpitala szalonych, który na przekór dobremu smakowi, gmatwaną słów niepojętego języka, niepojęte i dziwne pomysły baje; Marcinkowski jest tylko głupi, Mickiewicz szalony...“

Kończąc swoją dużą pracę „O literaturze w wieku dziewiętnastym“ w 1830 r., przypisując olbrzymią doniosłość romantyzmowi, Mochnacki nie był bezkrytycznym ich chwalcą, choć ostatnie strony dzieła zabrzmiały jak tryumfalna fanfara: „Pisarze nasi poszli za natchnieniem własnego talentu! Z gruzów przeszłości wydobyli porządek poetycki, historyczny, oczyszczając rozbitki nadziei i blaskiem... Działająca poezja polska wyraża myśli i idee XIX wieku; oddaje cześć miejscowym pamiątkom; natchnienie swoje zasilę podaniem i wiarą ludu, tej nawzajem niosąc wspomnienie!“

**N**A niecały rok przed powstaniem Mochnacki wszedł do sprzymierzenia Wysockiego i wniósł swój punkt widzenia co do terminu rozpoczęcia walki, domagając się utworzenia rządu, który by nadał początki kierunkowi wypadkom. Wysocki z którym rywalizował już w spisku Żaliwski, z dziecinna naiwnością właściwa ludziom o kryształowej duszy, lecz o niezbyt głębokich umysłach, uważał, że wystarczy dać sygnał, a we właściwym czasie ludzie popularni wysuną się na czo-

ło. Choć zdanie to przeważało i Mochnacki usunął się ze sprzymierzenia przed powstaniem, to w nocy listopadowej i w dniach bezpośrednio ją poprzedzających bierze on czynny udział. On to organizuje słynne spotkanie Lelewela ze spiskowcami w Bibliotece Towarzystwa Przyjaciół Nauk w dniu 21 listopada 1830 r., kiedy to Lelewel akceptował termin wybuchu na 28 listopada.

W Noc Listopadową wraz ze zwycięstwem nad wrogiem zewnętrznym, władzę z bruku warszawskiego podjęła za sprawą Lubeckiego, a pomocą Czartoryskiego, Niemcewicza i Zamoyskiego — występująca nadal w imieniu cara Mikdaja choć już w rozszerzonym składzie Rada Administracyjna. Gdy na ulicach brzmiały jeszcze ostatnie strzały zwycięskiej, a jak napisze Niemcewicz „ukrywanej a wcale nieprzewadzonej“ rewolucji Rada Administracyjna o drugiej w nocy 30 listopada w pałacu Braniczkich wzmacnia swój autorytet osobą Chłopińskiego (nadal ukrywającego się), Niemcewicza i Lelewela. Prowadzi ona też nocne rozmoowy z ukrytym na Wierzbnie Konstantym (delegacja: Lubecki i Czartoryski). Ten rząd kontrewolucyjny, którego pierwszą myślą wyrażoną w wydanej odezwie była ochrona własności przed „anarchią“, nie mógł oczyścić kroku posunąć ani sprawy wolności, a tym bardziej sprawy wyzwolenia społecznego, niszcząc w chwili wybuchu polską myśl rewolucyjną 1830 roku.

W celu obalenia Rady Administracyjnej i ustalenia rządu rewolucyjnego wzorowanego na rządzie młodej burżuazji francuskiej — rządu ko-runy warszawskiej 1830 — 1831. — Mochnacki zorganizował zbrojny klub rewolucyjny pod nazwą Towarzystwa Patriotycznego, który postawił na swym ciele Joachima Lelewela. Obok wybranego zaocznie na prezesa Lelewela, wiceprezesa Towarzystwa zostali Ksawery Bronikowski i Mochnacki. Klub w swej pierwszej odezwie z 1 grudnia 1830 r. wzywał do walki o swoje prawa i do usunięcia od rządu ludzi nieudolnych, zprzedanych... Co myślał o klubie Lubecki, świadczy jego słowa: „Z tego wszystkiego, com od Mochnackiego słyszał, powziętem prze-konanie, że ma zamiar mnie powie-sić...“

**M**OCHNACKI po swym upadku wyraził dość przejrzysty swój punkt widzenia na sprawę „kontrewolucyjnego rządu“, jak go sam nazywał. Uwagi są tym ciekawsze, że pisane były one przed upadkiem powstania, a nawet przed wejściem Dybica do Królestwa w styczniu 1831 r. i przed tym, zanim napisze prasa z 20 stycznia... „Lud wyrwał z szklę we wszystkich sklepach portrety tego przeniemy (Chłopińskiego — mojdoo)... w swoim oburzeniu i żalu deptał rysy niedawno tak drogie i podawał przekleństwa imię ubóstwione przed chwilą... ależ bo nikt na świecie tak gorzko i tak bezbożnie nie uśmiechnął się ze świętej wiary ludzi w uczciwość i cnotę“... Mochnacki będzie jeszcze zaciekle walczył wiołem w „Nowej Polsce“, organie rozbitego



Adam Czartoryski

Towarzystwa Patriotycznego. Zrozpaczony postępowaniem rządu w lutym 1831 r. wstąpił do dywizji Szembeka, odzyskując tytuł oficera walczył pod Okuniewem, Przetycem, Wawrem, Liwem, Długosilowem, a grobli pod Tykocinem aby paść ranny pod Ostrołęką. Zanim jednak to nastąpiło Mochnacki daje swe credo polityczne w szeregu artykułów. Domagając się złożenia władzy przez zachowawczy sejm i zwolnienia w obliczu niebezpieczeństwa „kongresu narodowego“,

Mochnacki pisze: „Wobec nas, wobec całej Europy, w obliczu nieba i ziemi oświadczam wam, żeście się do tej roli, którą teraz sprawujecie, nie zrodzili. Dobrymi, poczciwymi ludźmi jesteście, jesteście nawet dobrymi Polakami, lecz nie wiecie tego, co czynicie w obecnej chwili“... („Nowa własność języka polskiego“).

Dążenia społeczne Mochnackiego mieściły się w ramach postępowej koncepcji reformy włościańskiej Staszica. Obok Jana Olbryhta Szanieckiego („potrzeba zainteresować lud rzeczą, a nie słowy; potrzeba stan, w jakim się znajduje zmienić na lepsze... przestaćmy być bracią szlachty, bądźmy Polakami...“) obok Tadeusza Krępowieckiego („Chcę przywiązać lud do rewolucji trzeba mu nie tylko metafizyczne słowa: wolność i swoboda powtarzać, ale trzeba iżyć w zmniejszeniu politycznej ułudy przejście do polepszenia bytu swojego...“) — staje myśl Mochnackiego pod sztandarem szekspirowskim „Być albo nie być“.

„Żadne przedsięwzięcie — głosi Mochnacki — śmiałością, niebezpieczeństwami, nareszcie ogromem swoim, nie przechodzi polskiego powstania; żadna zagadka nie była zawiłsza, od kwestii naszego bytu. Wielki naród w środku Europy upada niemocą swoich konstytucji, upada licznymi przysługami składu swego społeczeństwa. Nie dlatego zginęliśmy, żeśmy mieli zdradców, żeśmy się nie zgodzili, że sobą... to tylko skutki zlego... Znieśliśmy dlatego, że nie WIEKSZOŚĆ, ale mniejszość po wszystkie czasy była u nas narodem... Ci co wierzą w dyplomatykę, żyją z dnia na dzień, w nadziei, w oczekiwaniu. Nie wierzą w żadne społeczne wstrząśnienia. Przoraża ich gnaw ludu, zatrważa nas powstanie. Obawiają się tego jak fali wzburzonego morza, jak morowego powietrza, jak wezbrania wód i ognia... Ci zaś co nie wierzą w dyplomatykę, w mocy tylko i słuszności całą pokładają nadzieję. Ci powołują masę do życia“... „Historia przekazała nam tę prawdę: że siła jaką naród zewnętrzny nieprzyjaciela pokonać zdolna, zostaje w ścisłym bezpośrednim stosunku z siłą jego materialną i moralną wewnętrzną. Dla powiększenia pierwszej, potrzeba ostatnią pomnożyć, natężyć... Niemasz żadnego środka, który zwiecie jakobińskim, jakiego by użył obecnie mus nieodpartej konieczności nie przewalał. Zmiana wszystkich wewnętrznych stosunków, zmiana radykalna, generyczna, powodująca do życia i cywilizacji to wszystko, co u nas było za okresem ukształcenia społeczeństwa ten ostatni i jedyny środek wywołano nas zdola ze wszystkich niebezpieczeństw“...

Nie był Mochnacki tylko teoretykiem, gdy wołał „powiedzcie całej Europie, że naszym mandatem jest zapal i rozpoczniesz niebezpieczeństwo ludu“, bo zarazem zapamiętałe wzywał aby „pomnożyć wojsko do 100.000 piechoty“.

**Z**e grozą czytało mieszczaństwo artykuły Mochnackiego. Widmo historii rewolucji francuskiej ploszyło sen z powiek spokojnych obywateli, przesładowało posłów, przerażało członków rządu. Zatykano uszy, aby nie słyszeć proroczego głosu i nie przestawano „medytować nad przepaścią“. Ale, że Mochnacki nie mógł być niesłyszalnym, więc odpowiedzią były przekleństwa i obelgi. Zabijano Mochnackiego w opinii, podcinając oddziaływanie społeczne człowieka, w którego głowie miała swe siedlisko myśl narodowa powstania. Wielkiego Mochnackiego pokonywała mała współczesność. Historia jednak oceniła, kto w tych tragicznych zapasach wewnętrznych w czasie powstania odniósł zwycięstwo w obliczu dziejów. Ludwik Mierosławski napisze: „Potomność musi więc urwać, że jedynie ze szlachetnej zawiści do tego wyjątkowego w Polsce świętnika, współczesni Polacy odsadzili go od wszelkiego udziału w ratowaniu ojczyzny, woląc przepaść do szczytu, jak nawet najłżejsza szansa zbawienia zawładnąć rozumowi, upokarzającemu ich zarozumiałe niedołęstwo... W całym narodzie on jeden do głębi patrzył w przepaść, a czy się najniebezpieczniej z Polakami, aby ich choć na jedną chwilę powstrzymać“...

Mimo porażek przez całe lata będzie promieniowała w Mochnackiego niezmierna wiara w siłę powstania, a o rewolucjonistach Nocy 29 powie: „Myśmy nie byli garstką w początkach! Zostaliśmy nią dopiero później błędem całego powstania kierunkiem... Narodził się umierał... Dlatego zaś upadliśmy? Wyraz NIE UMIELIŚMY zdaje się być najulaściszy w tej mierze“... Ten duch załamania się w nim niece, gdy blisko swej

śmierci 5 kwietnia 1833 r. w liście do ojca ujawni swój ból i niepokój: „znam nasz naród, znam ludzi, którzy za niego działają i działać mogą. Tak jestem przekonany, że nigdy się w naszym kraju nie zmieni co do politycznego głupstwa, intryg nieczestnych panów, i ich służalców. Tak wielką impresję uczyniła na mnie ostatnia rewolucja, że postanowiłem być wygnanym do śmierci“...

Jak wspominałem, w okresie do 5 grudnia przeżył Mochnacki, decydująca dla dalszych losów rewolucji wyniesienie na szczyty fali rewolucyjnej, aby potem za sprawą przywódców kontrewolucji z Lubeckim na czele zejść z widowni politycznej zagrożony osobistej śmiercią o rozgromieniu Towarzystwa Patriotycznego. Ten decydujący moment poprzedziło słynne, przez konserwatywnego Barzykowskiego rozkrzywane „najście Mochnackiego na Radę Administracyjną“.

Ta nieznaną na ogół, historyczna scena miała miejsce dnia 2 grudnia 1830 r. po posiedzeniu klubu, który obradował burzliwie w czasie, gdy jego prezes Joachim Lelewel wraz z Lubeckim, Ostrowskim i Czartoryskim, jako przedstawiciele Rady Administracyjnej, układali konwencję z Konstantym na Wierzbnie. Klub na



Joachim Lelewel

wniosek Mochnackiego uznał się „za niustającą reprezentację ludu warszawskiego“ i wyznaczył ze swego grona delegację celem natychmiastowego przedłożenia Radzie Administracyjnej imieniem ludu warszawskiego następujących zadań:

- 1) Aby generał Chłopiński, wódz naczelny wojska polskiego natychmiast odebrał rozkaz do działania w celu zniszczenia lub rozbicia nieprzyjaciela;
- 2) aby obywateli z prowincji uzyskali upoważnienie do wszczęcia powstania w kraju (tzn. na Litwie — mój dopisek);
- 3) aby ministrowie i zastępcy ministrów oddani zostali pod obserwację straży narodowej do dalszego z nimi postępku;
- 4) aby żony wojskowych i urzędników rosyjskich otrzymały straż, ponieważ w ciągłych zostają stożkach i korespondencji z mężami swymi;
- 5) aby z cesarzem Konstantym w żadne układy nie uchodzić; w cesarstwie mieć ręką i negocjować z Petersburgiem (tzn., że go jako jeńca i zakładnika rewolucji zatrzymać i z nim nie pertraktować — mój dopisek);
- 6) aby dyrektor poczty został zmieniony;
- 7) aby ci dowódcy wojska polskiego, którzy się dotąd nie połączyli z narodem i nie oświadczyli za nami, zostali obwołani zbrojnymi wrogiem; przy zachowaniu tej formalności aby parlamentariusz generała Chłopińskiego dał im do tego termin jak najkrótszy;
- 8) aby natychmiast przystąpiono do wykonywania tych zadań, inaczej bowiem Rada Administracyjna BĘDZIE ZNIEWOLONA przując do swego grona klub członków klubu, których klub sam wybierze“.

**N**ASTĘPNEGO dnia uzbrojona delegacja w składzie: Ksawery Bronikowski — wiceprezes klubu (p. n. Towarzystwa Patriotyczne), Maurycy Mochnacki — II wiceprezes klubu, Ludwik Nabelak, Adolf Łęczyński, Anastazy Dunin, Gerwazy Dobrogojski, Franciszek Grzymała, Bazyli

(Dokończenie na str. następnej)

Michał NOWACKI

# WYBORY AMERYKAŃSKIE

WYBORY elektorów na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych w latach 1953 — 1957 przyniosły po zaciętej walce, zwycięstwo wysuniętemu przez republikanów generałowi Eisenhowerowi. Kampania wyborcza jest już nam dostatecznie znana. Wiadomo, że program obu kandydatów, Eisenhowera i Stevensona, różnił się minimalnie, oraz że obie konkurujące w Ameryce o władzę partie są w równej mierze wyrazicielami interesów wielkich trustów.

Można jednak postawić sobie pytanie, czy przesądzony już, dzięki republikańskiej większości wśród elektorów, wybór Eisenhowera na prezydenta, który odbędzie się w grudniu b. r., oznacza zwycięstwo republikanów, klęskę demokratów, czy też osobisty triumf sięgającego po władzę generała.

Dzisiejsze istnienie obu partii oparte jest, formalnie biorąc, na tradycjach dawnych walk między centralistyczną północą a federalistycznym południem. Wówczas republikanie, rzecznicy kapitalistycznej burżuazji Stanów Północnych, byli elementem postępowym w stosunku do feudalnych obrońców gospodarki niewolniczej na południu, którzy przybrali sobie nazwę najpierw federalistów, a następnie „demokratów“. Od chwili decydującego triumfu ustroju kapitalistycznego w Stanach Zjednoczonych różnice te przetrwały się w całkowitą fikcję, a treścią zachowanych odrębnych partii stały się konkurencyjne rozgrywki o władzę pomiędzy poszczególnymi grupami monopolistycznego kapitału.

Zaistniał wówczas dość niespodziewany paradoks. Stojące na niższym poziomie rozwoju gospodarczego, skrajnie rasistowskie południe wybierało stale nadal demokratów, którzy operowali frazeologią bardziej lewicową niż republikanie. Zapewniało to demokratom głosy części mas pracujących otumanionych tą

demagogią. Taktyka demokratów dawała się łatwo tłumaczyć. Będąc wyrazicielami interesów przede wszystkim wielkich plantatorów i związanych z nimi grup finansowych, starali się oni osłabić swych konkurentów przez pewną kontrolę wielkich trustów ze strony państwa, podczas, gdy republikanie, którzy są bezpośrednimi rzecznikami koncernów przemysłu ciężkiego (dziś popierają ich Rockefeller, du Pont de Nemours, Ford i Morgan), głosili klasyczny liberalizm ekonomiczny, tj. pozostawienie decydującym zrzeszeniom monopolistycznym całkowicie nieskrępowanej możliwości realizowania swej eksploatacji gospodarczej. Walka między demokratami a republikanami toczyła się o posiadanie władzy, służącej w każdym wypadku interesom którejs z grup finansowych.

Znalazło to wyraz również w programach polityki zagranicznej. Eksportujące bawełnę południe zainteresowane było przede wszystkim w europejskich rynkach zbytu, to też demokraci stali się rzecznikami imperializmu amerykańskiego w skali światowej, uwzględniając w pierwszym rzędzie konieczność kontroli amerykańskiej nad gospodarką europejską. Wyrażający interesy przemysłu przetwórczego republikanie kładli większy nacisk na opanowanie rynków zbytu w krajach kolonialnych i półzależnych, to też pod osłoną doktryny Monroego i zasady rzekomego izolacjonizmu przeprowadzali ekspansję przede wszystkim w Ameryce Łacińskiej i na Dalekim Wschodzie. Długoletnie ich rządy przed pierwszą wojną światową, reprezentowane zwłaszcza przez Teodora Roosevelta, doprowadziły do wielkich zdobyczy imperializmu amerykańskiego w basenie morza Karaibskiego i na Pacyfiku.

Za prezydentury Wilsona podczas pierwszej wojny światowej demokraci przystąpili z kolei do realizowania celów imperializmu amery-

kańskiego w Europie. Triumf rewolucji w Rosji zjednoczył demokratów i republikanów we wspólnej walce przeciwko krajowi budującemu socjalizm. Władza przeszła jednak w ręce republikanów, którzy obalili Wilsona na tle jego niepowodzeń w interwencji antyradzieckiej. Niepowodzenie to w konsekwencji umożliwiło Japończykom zajęcie górującej pozycji w Chinach, co było niebezpieczne dla interesów eksporterów amerykańskich. Odmowa ratyfikacji Traktatu Wersalskiego była krokiem wstępnym do Konferencji Waszyngtońskiej w 1922 r., która usuwając Japonię z terenów Chin, wskazywała jej drogę ekspansji na terytorium radzieckie.

Dwunastoletnie rządy republikanów doprowadziły, za prezydentury Hoovera, do największego w dziejach Stanów Zjednoczonych kryzysu ekonomicznego. Na tym tle, w 1932 r. wybrany został prezydentem przywódca demokratów Franklin Roosevelt. Głosił on program ratowania ustroju kapitalistycznego Stanów Zjednoczonych za pomocą swego rodzaju gospodarki kierowanej i etatystycznej, wzorowanej na podobnych próbach podejmowanych przez burżuazję w różnych państwach europejskich. Pod osłoną postępowej frazeologii New Dealu, Franklin Roosevelt prowadził dalej politykę światowej ekspansji imperializmu amerykańskiego, zdobywając podczas drugiej wojny światowej bezspornie pierwsze miejsce dla Stanów Zjednoczonych wśród państw kapitalistycznych.

Po wojnie nowy okres jawnej hegemonii Stanów Zjednoczonych w obozie imperialistycznym oraz związanego z tym przewoźnictwa w walce z obozem pokoju i demokracji, wymagał zmiany metod polityki wewnętrznej w kierunku zaostrenia kursu reakcyjnego. Partia demokratyczna miała swe skrzydło bardziej lewe, opierające się na zwolennikach

taktyki New Dealu oraz skrzydło skrajnie reakcyjne, którego podstawą wyborczą były stany południowe. Po śmierci Roosevelta ono właśnie przyszło do władzy wraz z prezydenturą Trumana.

Różnic istotnych między demokratami a republikanami nie było już właściwie żadnych, ani programowych ani taktycznych, zarówno w polityce zagranicznej jak i wewnętrznej. Dzięki temu Truman mógł rządzić mając przez dużą część swej prezydentury większość republikańską w Kongresie. Dzielący obu konkurentów tylko rozgrywki o władzę i momenty personalne. Nic więc dziwnego, że podczas ostatniej kampanii wyborczej „różnice“ te wystąpiły na plan pierwszy.

Republikanie mieli tę przewagę, że to ich przeciwnicy byli dotychczas u władzy, to też mogli działać z wygodnej pozycji krytykowania konkurentów i kładzenia na ich karb wszystkich ujemnych przejawów, przeciwko którym chciał zaprotestować wyborca.

Lista ich jest długa i ważka. Przeciwny obywatel amerykański pragnie pokoju, domaga się zakończenia awantury koreańskiej, zaniepokojony jest coraz szerszym ograniczaniem swobód obywatelskich i dotkliwie odczuwa stałą zwyżkę cen przy jednoczesnym zablokowaniu zarobków, obawia się niepokojącego wzrostu bezrobocia, zagrożony jest spadkiem produkcji towarowej kraju, będącej konsekwencją polityki zbrojeniowej, oburza się coraz bardziej na stale ujawniane nowe afery korupcyjne i szerzące się nadużycia.

Demokraci starali się ratować swe zagrożone pozycje, wysuwając kandydaturę Stevensona, który wystąpił jako zwolennik podjęcia hasła New Dealu, a więc próbował zastosować demagogiczną frazeologię lewicową. Taktyka taka udała się już raz Trumanowi, gdy podczas wyborów 1948 r. utrzymał się przy władzy w zdominowanym przez siebie kraju.

beznadziejnej sytuacji, odwołując się do poparcia związków zawodowych za pomocą obietnicy skasowania ustaw antyrobotniczych i walki z tendencjami rasistowskimi.

Społeczeństwo zapamiętało jednak, że były to gołosłowne zapowiedzi. W trakcie ostatniego czterolecia będąca u władzy partia demokratyczna nie tylko nie realizowała tych obietnic, ale zastrzyła jeszcze reakcyjny kurs wewnętrzny. Usłużni reformistyczni przywódcy związków zawodowych i tym razem wezwali do głosowania na demokratów, ale nie dało to spodziewanego rezultatu, gdyż niezadowolone z rządów partii demokratycznej przeważało.

Nastroje te wykorzystywali taktycznie republikańscy organizatorzy kampanii wyborczej. I oni zastosowali skrajną demagogię, obiecując gołosłownie, że potrafią rozwiązać wszystkie trudności i usunąć wszystkie bóle. Nie będąc w stanie sformułować konkretnego programu politycznego, odpowiadającego interesom mas pracujących, położyli główny nacisk na wytykanie poprzedniemu rządowi jego skandali, błędów i niepowodzeń, operując zwłaszcza atakami personalnymi.

W tej sytuacji niezadowolony wyborca amerykański zareagował bądź wstrzymując się od głosowania, gdy jasnie widział, że rządy republikańskie w niczym nie zmieniają dalszej polityki, bądź też oddawał swój głos na Eisenhowera, co w gruncie rzeczy było głosowaniem nie tyle na republikanów, ile przeciwko demokratom. Zresztą nie małą rolę w ostatecznym rezultacie głosowania odegrała prasa, która w 3/4 popierała Eisenhowera, atakując bezwzględnie jego konkurenta.

WARUNKACH amerykańskiego systemu dwupartyjnego siły klienteli obu stronnictw są mniej więcej wyrównane. Dowodem tego jest fakt, że w ciągu lat powojennych większość demokratyczna, względnie republikańska w Kongresie nie wynosiła nigdy więcej niż kilkanaście głosów. Również przeprowadzone obecnie, jednocześnie z wyznaczaniem elektów prezydenta, wybory do Izby Reprezentantów i Senatu dały republikanom jedynie przewagę paru mandatów.

Natomiast ilość głosów, która padła na Eisenhowera, jest większa niż wyborców głosujących na kandydatów partii republikańskiej do parlamentu. Wystąpiło to specjalnie jasnym w Stanach Południowo-Zachodnich, które tradycyjnie stanowią ekskluzywną domenę wpływów demokratów. Świadczy to, że na ostatecznym wyniku zaważyła również sama osoba zwycięskiego kandydata. Przesadą jest jednak mówić o jakiejś szerokiej popularności Eisenhowera. Zagrał tu raczej inny motyw.

Eisenhower nie był nigdy związany z republikanami. Przeciwnie, uchodził on poprzednio za raczej zbliżonego do demokratów. Już w 1948 r. mówiono o jego kandydaturze na prezydenta, ale wówczas wysuwał go demokraci. Tylko decyzja Truman na zgłoszenia ponownie swej kandydatury odsunęła go wówczas od ubiegania się o fotel prezydenta.

Wysunięcie kandydatury Eisenhowera przez republikanów stanowiło taktycznie zręczne posunięcie. To, że był on przez szereg lat bliskim współpracownikiem Trumana i jego doradcą w sprawach wojсковych, jednało mu głosy części demokratów. Ważniejszą rzeczą było jednak, że wysuwając na szefa rządu kandydaturę osobistości niezwiązanej z mafią partyjną, kierownicy republikańscy zyskiwali głosy tych, którzy napewno nie wypowiedzieli by się za jednym ze zgranych polityków.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby kandydował Taft lub któryś z innych

(Dokończenie ze str. 3)

Mochnacki Wilecki, Szwarc, Gaszczyński i Słubiński, a za nią cały klub otoczony masami ludu zbrojnego stanął przed gmachem gieldy, gdzie zgromadziła się Rada Administracyjna po powrocie delegacji z Wierzbna. Deputacja klubu po godzinnym oczekiwaniu i wielokrotnym meldowaniu się została przyjęta przez kaszcielana Kochanowskiego, który starał się ją zbyć i nie dopuścić do Rady Administracyjnej. Dochodzi do gwałtownej wymiany zdań z oburzoną tym postępowaniem deputacją i wreszcie — jak opisuje Mochnacki — niespodziewanie wyszedł Władysław Ostrowski i za prośbą deputacji do wewnątrz. „Książko Czartoryski, Lubicki, Chłopiński, Niemcewicz, Radziwiłł i Gustaw Malachowski zaraz powstali z miejsc swoich. Widać było pewną na tych twarzach konsternację. Lecz Lelewel największe okazywał nieukontentowanie: krok klubu oczywiście go kompromitował przed osobami, które nie bez przyczyny, już wtedy Lelewela o duży znaczek postępowanie posiadzać mogły, albowiem miał udział w wadzy i zarazem był (choć pomimo wiedzy i woli swej) obwołany za naczelny ka opozycji tworzącej się przeciwko tej władzy — położenie najfatalniejsze i najniegodniejsze dla człowieka... Lubicki dobrze pojmował przyczynę i cel tego poselstwa, nie okazywał jednak po sobie, iż odgadywał, przeciwko komu głównie ruch ten był wymierzony... Czartoryski zdawał się być mocno zmieszany, a Niemcewicz, który do samej nazwy „klubu“ z przykładu rewolucji francuskiej przywiązywał wszystkie bezprawia terrorizmu, mowid, nawet łpiestwo, unosił się na ten widok niepokonanym gniewem... Lud oburzony zalegał wszystkie plac przed bankiem...“

Delegacja no uprzejmym nakłonięciu sytuacji udzieliła głosu Maurycemu Mochnackiemu, który oświadczył:

„Nie mniemacie panowie, że układami z W. Księciem, zaoda z cesarzem te sprawy załatwić potraficie. Lud i wojsko podniosło oręż dla oswo-

bodzenia kraju; naród rewolucji upaść nie pozwoli. Powstanie nasze może zmienić postać Europy. Cóż dotychczas działała rada rządowa, która się podjęła nim kierować? Czas mija bez pożytku; lecz jeszcze nie wszystko jest stracone. Odezwy rady grożą przywróceniem porządku, który zniszczyć od lat piętnastu to jest od momentu jak powstał, było usiłowanie wszystkich prawych Polaków, których osłabił wy sami dopomogliście nie jednym przykładem waszego obywatelstwa. Ci, których przed sobą teraz widzicie zaczęli rewolucję z poświęceniem swych głów i postanowili dalej ją rozwijać, postanowili nią kierować pomimo oporu, jaki w tej mierze istnieje ze strony rządu. W tym celu odwołali się oni do ludu stolicy, który ten gmach z orężem w ręku oblega i nie rozjeździe się, jeżeli następujących sprawiedliwych jego żądań w czasie jak najkrótszym, w czasie oznaczonym do skutku przywieść nie zechce. Lud żąda! — Tu Mochnacki odczytał uchwałę klubu o powyższej treści i wręczył ją Czartoryskiemu, wśród ogólnego poruszenia i oburzenia niektórych członków rządu. Czartoryski zrobił uprzejmą uwagę, że niektóre z punktów petycji są nie do wykonania ze względu na umowę z Konstantym właśnie zawartą, a jeszcze niepublikowaną. Zdumienie delegacji wyraził Mochnacki: „To są żarty, Maści Książko, — my nie powstaliśmy dla przyjmowania łask i warunków od W. Księcia, który jest jeńcem rewolucji — ale dla zbawienia Polski. Niechaj tedy rząd nie gra komedii, która się bardzo tragicznie zakończyć może albo dla powstania albo dla jego nieprzyjęcia i jego wątpliwych stronnictw...“ Słowa te tak zatrząsnęły obecnych, że Gustaw Malachowski zaczął pisać dymisję, za nim Radziwiłł a Chłopiński wypadł z furii z sali, trzaskając drzwiami. Niemcewicz teatralnym gestem rozdarł suknie na pierśiach i krzyczał: „ucieczka w to serce, które zawsze było dla ciebie, — namordula nas, — wszelki przyszlizie tu z bronią — skoczcie, sumieniu i poczciwej nie ufacie siwiz-

nie!“. Wreszcie rząd zobowiązał się wziąć pod rozwagę przedłożenia klubu i deputacja właściwie z niczym odeszła.

Realnym skutkiem było podanie się do dymisji Lubickiego i Mostowskiego, co spowodowało de facto rozwiązanie Rady Administracyjnej, po „orgii jakobińskiej“ jak nazywano deputację klubu. Rozpadający się rząd, chcąc stępić ostrze klubu, powołał w ostatniej chwili przed upadkiem do rządu Bronikowskiego, Mochnackiego i Machnickiego, a jednocześnie postanawia „w obawie rewolucji społecznej, terrorizmu, łpiestw itp. rozliczonych pogłosek“ usunąć przywódców klubu (poza biernym Lelewlem). Mochnacki nie przewidział tego gwałtownego oporu, nie zorganizował klubu w określonych formach organizacyjnych i ten błąd kosztował klub odsunięcie go od dalszego wpływu na wypadki.

To decydujące uderzenie Lubickiego nastąpiło właśnie na posiedzeniu klubu z 3 na 4 grudnia, gdzie Lubicki naśląd na posiedzenie swoich popleczników i na niekontrolowanej sali posiedzeń klubu zorganizował po tętną opozycję. Mochnacki nie podejrzewając podstępnie zaczął gwałtowne przemówienie tymi słowami (t. II, 128): „Przynoszę wam wiadomość bolesną. Żądania wasze nie wzięły żadnego skutku. Rozwiązano uprządkować administrację, lecz rząd tymczasowy jej miejsce zastępować mający bez jej pozwolenia ukonstytuował się nie chce i jak orientuje się lepszemu od niej nie będzie. Mija czas kosztowny ze szkoda kraju. Carewicz uchodzi wolno do ziem zabranych. Ludzie z imionami historycznymi, których mieliśmy za patriotów, nie pozwalają utrudzać jego marszu. Ludzie znani z liberalizmu weszli w otwarte przymierze z nieprzyjaciółmi kraju. Nie ufajmy imionom historycznym. Nie ufajmy żadnej wierności, żadnej zasłudze. General Chłopiński nie donosił swego obowiązku...“ Mimo przerywania ze strony, jak się okazało, większości sprawdzonej przez Lubickiego, Mochnacki zawołał:

„Mości Panowie. Chłopiński zdradca rewolucji. Przyszedłem tu oświadczyć wam, że się usuwam od władzy, która naród stawia nad przepaścią. Dokończmy to, cośmy zaczęli, idźmy znowu, idźmy wszyscy razem z bronią i postanówmy rząd rewolucyjny!“

Wtedy powstała na sali ogromna wrzawa, wśród której przeważały okrzyki: „zginiesz — zginiesz — przez ze stół!“ Błędy taktyczne Mochnackiego, które wykorzystywali obecni na sali ludzie Lubickiego, o większym Ksawery Bronikowski, członek rządu, który świadomie czy nieświadomie wyjął dekret śmierci dla klubu słowami: „jako świadek dziejących czynności rządowych, zeznałem pod słowem honoru, iż rząd działa rewolucyjnie“. Nie dozwolono odpowiedzieć Mochnackiemu i poirwanego go gwałtem ze stołu, przyłożywszy bagnet do piersi. Wśród okrzyków: „Terrorysta — oszczerca — Robespierre polski!“ przyjaciele wyprowadzili pod osłoną Mochnackiego. Klub rozpadł się oficerowie.

Losy powstania pchnięte od tej chwili w objęcia dyplomacji i błogiego samozadowolnienia z urojonych sukcesów, stracą swój rozmach i przestoczą się w rolę statysty rządów kontrewolucji.

Mochnacki po mistrzowsku wykażał w swej pracy historycznej „Powstanie Narodu Polskiego 1830 — 31“, braki powstania listopadowego. Nie jeden z tych filarów, na jakich wspierały się plany i wskazania Mochnackiego, osunął się w ziemię i skruszył w tym prawie półtora wieku, jakie nas oddzielają od jego epoki, jednak nie można nie przyznać, że człowiek ten ogarniał wielki szmat dzieł i przenikliwie wykrywał zasady istnienia politycznego swego narodu. Ten malarz wielkich wydarzeń historii narodu posiadał w wysokim stopniu zmysł prawdy i zmysł krytyczny oraz instynkt czci dla rzeczy wielkich.

Tomasz Zaniec

(Część druga tego artykułu ukaże się w następnym numerze.)

(Dokończenie na str. 9)

Zygmunt LICHNIAK

## E P O S T R A G I C Z N Y

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (31)

LOSY drugiej wojny światowej, a zwłaszcza jej pierwszego etapu wrześniowego, w którym rozwił się miraż potęgi Polski sanacyjnej — doczekały się w naszej literaturze pięknej nie jednego zapisu. Wielu pisarzy próbowało zawrzeć w swoich utworach gorzkie wspomnienia dwudziestu kilku dni pogromu, rozbijającego kruche, — jak się okazało — dzieło dwudziestu lat pracy oszukanego narodu.

Rzecz charakterystyczna: wszystko, co pióro prozaików czy poetów napisało na temat tragicznego eposu września — było rozedrganą emocjonalnymi napięciami liryczną, było tylko albo spowiedzią rozgoryczonych żołnierzy, albo przekleństwem zawiedzionych patriotów, albo retoryką heroicznego gestu, że — jednak walczyliśmy, że — Kutno, że — Warszawa. Literatura piękna na temat września umiała się tylko wzruszać. Skala tych wzruszeń była dość szeroka. Obejmowała i biologizm czyniący z pożoży wielką przysięgą (Żukrowski — „Z kraju milczenia”), i inteligentnie rozładowanie kompleksów, dla których wojna była nie tyle tragicznym kataklizmem, ile dobroczynnym kataklizmem (Kisielewski — „Sprzysiężenie”) i porachunki z egotycznymi nawykami, nakazującymi pisać według zasady „wojna a ja” (Mach — „Rdza”). Dążenia poznawcze kończyły się w tej literaturze „wrześniowej” na wymownym wskazywaniu szosy zaleszczyckiej, na ryzakotomym piętowaniu wszystkich szarż wyżej dwóch gwiazdek, na oplakaniu niewykorzystanych szans strategicznych, które jakoby istniały. Emigracyjni wieszczkowie natomiast i z tego zrezygnowali, śpiewając ogólnikowe hymny i antyfony na temat heroicznych zmagania z najeżdżącą (Wierzyński — „Pobojowisko”).

W ubiegłym roku redakcja tygodnika „Dziś i Jutro” użyczyła swoich łamów konkursowi imienia Ksawerego Pruszyńskiego na nowelę o tematyce wrześniowej. Prace nadesłane na konkurs (a było ich około 40-tu) wykazały, że błąd „literatury za wodowej” powtarza „literatura amatorska”, że jest to błąd w powstającym stosunku do tragedii sprzed trzynastu lat. Nadsyłano relacje o zdradzie, fragmenty o bohaterstwie żołnierza, pamiętnikarskie wspomnienia o okropnościach wrześniowego rozczarowania.

Historycznej nieuniknioności, dziejowej konsekwencji, społeczno-politycznej logiki września nie dostrzeżono.

Jerzy Putrament w swojej książce pt. „Wrzesień” jest pierwszym pisarzem, który prawdę pogromu z przed lat trzynastu ukazał w szerszy, głębszy i bardziej — niż liryczne relacje — przekonujący sposób. Książka jego\*) — nie rezygnując z przedstawienia spłotu osobistych ludzkich tragedii, które mnożnikiem milionowym powiększyć może każdy z nas — przedstawia jednocześnie, a raczej przede wszystkim, tragedię narodu, tragedię Polski uwikłanej w sieć wewnętrznych sprzeczności, wciągniętej w tryby fałszywego mechanizmu społecznego, wplecionej w koło samobójczych uwarunkowań i powiązań rodzimego fałszywego faszyzmu obcymi, przed stawia tragedię Polski słabej i biednej.

Na tym polega główny walor ideowy „Września”. Udziela on jednoznacznej, prawdziwej historycznie, przekonującej socjologicznie wyraźniejszej i trafnej odpowiedzi na pytanie, przed którym postawił nas wrzesień. Książka Putramenta wyjaśnia, dlaczego musieliśmy przegrać kampanię wrześniową. Wyjaśnia nie tylko w kategoriach militarnych, strategicznych, ale przede wszystkim w kategoriach logiki dziejowej, w kategoriach społecznych, socjolo-

gicznych. Putrament potrafił — zrywając z tradycją lirycznych i zwężających temat relacji — dać artystyczną analizę zagadnienia wrześniowego w jego historycznych wymiarach. Jesień roku 1939 była okresem ponurego owocobrania, była finałem dramatu, który twórcy „Saisonstaat” usiłowali upiększać mocarstwowo, a który musiał się skończyć Zaleszczykami.

Putrament umie wydobyć na wierzch tę więź przyczynowo-skutkową, umie stworzyć w języku artystycznym powieści dostateczną ilość słusznych przesłanek ideowo-



Jerzy Putrament

społecznych tak, aby wnioski ideowo-społeczne narzucały się z siłą konieczności. Jego książka jest dziełem nie tylko zapisem faktograficznym, nie tylko panoramą września, nie tylko monografią nastrojów tamtych czasów, ale także, a raczej przede wszystkim zorganizowanym artystycznie zabiegiem poznawczym, artystyczną syntezą wiedzy społeczno-politycznej o klęsce narodu polskiego.

**T**RZEBA jednak wtrącić tu pewne „ale”. Brak w doskonałej analizie putramentowskiej wskazania wyraźniejszych wektorów politycznych. Jego uwaga skupia się niemal wyłącznie na motywacji społecznej. Oczywiście, polityczna wymowa września wynika z jego genetyki społecznej, ale na książce odbija się ujemnie to, że zagadnieniom par excellence politycznym poskąpił pisarz swojej pasji badawczo-artystycznej.

Dlatego za słabo widać we „Wrześniu” siatkę powikłań politycznych, w których szamotała się Polska przed — i wrześniową. Jedna rozmowa Burdy z Beckiem nie rozwiązuje tego problemu. Nie wyczerpuje go afera kapitana Ślizowskiego. Jedną postacią nierozsądnego awanturnika kapitalizmu Vestriego to za mało. Brak w powieści wyraźniejszej mapy politycznej. Stąd wrażenie jakby niepełności.

Jeśli jednak czyta się powieść ze zrozumieniem wszechzależności zjawisk, brak ten maleje dzięki wielkiej wyrazistości, trafności i prawdziwości w przedstawianiu ówczesnego układu sił wewnętrznych, układu sił społecznych, którego fałszywe i dysproporcje zaciążyć miały z winy jednej grupy nad losem całego narodu.

Książka nie potrafiłaby ukazać nam prawdy września w sposób tak szeroki i przekonujący, gdyby z Putramentem — ideologiem, z Putramentem — publicystą nie sprzymierzył się w twórczym sojuszu Putrament — artysta, świetny prozaik, a miejscami doskonały poeta.

Artystyczna wartość książki Putramenta polega — mówiąc oschłymi terminami seminarium polonistycznego — na konsekwentnej realizacji szczęśliwego pomysłu kompozycyjnego, na sprawnej funkcjonowaniu i zmiennej — w zależności od potrzeb narracji — komórcze zda-

niowej, wreszcie na zdolności nadawania konkretnym sytuacjom rangi wymownego znaku ogólnego, na pogłębianiu sensu szczegółów analitycznych wymowną mądrością syntezy.

Zastanówmy się chwilę nad kompozycją tej świetnie i ciekawie a pozornie w sposób chaotyczny zorganizowanej książki.

Kompozycję „Września” nazwać można kompozycją bezfabularnej, koncentrycznie zwartej wielowątkowości. Powieść nie ma „bohatera głównego”. Przewijają się w niej tłum niemal równouprawnionych postaci. Oczywiście, są postaci przez autora uprzywilejowane, częściej chwypane kamerą pisarskiej uwagi, pełniej występujące w psychologicznych zbliżeniach, jak np. pułkownik Rąbicz, wiceminister Burda, porucznik Markiewicz, komunista Walczak, czy generał Friedeberg. Ale i Kiebisom paniom Krawczykowi, Hasłom, Firstównym i innym Bałajom, Pałeckim, Dudom czy Szurgotom przyznano w utworze odrębne, własne miejsce.

Nie wiążąc się kompozycyjnie z żadnym ze swoich bohaterów w sposób ostateczny, a przeciwnie, starając się jedynie o uchwycenie prawa historycznego, przejawiającego się w ich życiu i o zapis dziejowego procesu, w którym wszyscy w różny sposób uczestniczą, nie związał autor swej powieści żadną więzią fabularną. We „Wrześniu” nie ma jakiejś jednolitej struktury dziania się powieściowego, nie ma tak zwanej fabuły. Jest natomiast wiele wątków wynikających z wielopłaszczyznowo wyczułonej uwagi pisarza na problematykę wrześniową. Oczywiście, tak jak różną dozą zainteresowania autorskiego obdarzone były poszczególne postaci, tak z różnym stopniem dokładności i wrażliwości pisarskiej prowadzone są poszczególne wątki. Dosyć dokładnie i całościowo obejmuje książka historię np. Rąbicza, Burdy, Markiewicza, Walczaka, czy Friedeberga. Fragmentarycznie ukazują się losy np. generała Knotheo czy jego kuzynki Anny. Szkicowo tylko wylaniają się przeżycia tajemniczych Ślizowskich Vestrich, czy polskiej Genevieve Tabouisy, Migawkowo jedynie ukazuje się miasteczko Zabórz ze swoją nagłą przemianą stosunków wewnętrznych między Nowakami i Kaganami, czy wieś Błażejowice z tragedią symboliczną dziewięcioletniego Jasia Przywidy, zwanego Białasem.

Przy tak szeroko rozbudowanej wielowątkowości i to w dodatku w powieści bezfabularnej, łatwo o artystyczny chaos, o kompozycyjny bałagan, jednym słowem: o klęskę nawet wytrawnego pisarza. Putrament jednak odnosi zwycięstwo. W zakresie kompozycji polega ono na umiejętnym zorganizowaniu wielu wątków w jedną całość dzięki zasadzie ich koncentrycznej współzależności.

Mówiąc po prostu: każdy los ludzki, choćby nie wiązał się sytuacyjnie z innym losem opisywanym w książce, wiąże się z nim wspólnotą zaszereżoną z momentem historycznym, który musiał być dla wszystkich dominantą, głównym akcentem, generalną próbą człowieczeństwa. Jeszcze prościej: wszystkie postaci „Września” i wszystkie indywidualne przeżycia nawet najbardziej migawkowo przedstawionych bohaterów polączone są w jedną całość nie tylko — co byłoby zbyt łatwe i niewystarczające — jednakowym czasem i przebiegiem sytuacji historycznej, ale także — co stanowi o ideowo-artystycznej sile kompozycji książki — jednakową mocną choć różnorodną skomplikowaną prawdą o podleganiu konsekwencjom dylektyki dziejów, prawdą o ingerowaniu podstawowych, najbardziej

ogólnych zasad dziania się historii w tok zwykłych, najprostszych istnień nawet dziewięcioletnich Białasów, z zagubionych na mapie, lecz odnalezionych przez eskadry hitlerowskie Błażejowice.

Dzięki takiej wewnętrznej budowie książki, ukazuje ona w humanistycznym, wnikliwym sposobie swojego „bohatera pozytywnego”. Bohaterem tym jest logika procesów dziejowych, twarda i okrutna mądrość historii, skazująca tych, którzy jej nie rozumieją, na nieodwracalne klęski. W tak zbudowanej książce autor zamknął tragedię wrześniową nie Walczaką, Krawczykowej, czy Jasia Przywidy, lecz tragedię oszukanego narodu.

Dziwna rzecz: mimo niewątpliwiej wyrazistości tej koncepcji, mimo całkowitej skuteczności takiego postępowania artystycznego ponoć samego autora niepokoiła wielowątkowość jego powieści, niedokończoność epizodów, „gubienie” postaci. Dobrodusznym doradcy proponowali autorowi w pewnej dyskusji napisanie trzeciej, ba, nawet czwartej części powieści. I z tym i z owym radzili się znowu spotkać na jej kartach. Radzili pozamykać wątki, podpisywać dalsze ciągi, sfinalizować poszczególne akcje dokończonymi. POCO? Cui bono? W imię czego? Chyba tylko dla rytualnej zgody z niezobowiązującą konwencją. Żadna z postaci książki nie prosi o dalszy ciąg. Każda — nawet jako postać epizodyczna — ma swoją skończoną i zamkniętą funkcję ideową i artystyczną. Spełnia ją w sposób uzasadniający swoje istnienie. I tylko to jest ważne w książce. Nie interesuje nas dalszy ciąg. „Wrzesień” to wrzesień, a nie listopad, grudzień, czy pięć lat okupacji. Pozwólmy pisarzowi być konsekwentnym w stosowaniu właściwej metody postępowania artystycznego.

**A**LE zapytajmy pisarza, czy nie niepokoi go, tak, jak niepokoić musi czytelnika inne niebezpieczeństwo: niebezpieczeństwo pomieszania dwóch typów postaci, dwóch sposobów charakteryzowania, zwłaszcza sfer sanacyjnych. Niebezpieczeństwo to polega na niedostatecznym respektowaniu psychologicznych praw fikcji literackiej. Wiemy, że Burda, Rąbicz, czy jakiś Ślizowski to postaci prawdziwe w sensie ich wymowy społecznej, w sensie ich istotnej funkcji desygnatów pewnych zjawisk, które miały miejsce w rzeczywistości międzywojennej. Ale wiemy jednocześnie, że są to postaci stworzone przez pisarza, choćby opierał się on na bardzo podobnych do nich modelach. Traktujemy te postaci — mimo wszystko — w kategoriach umownego rozumienia postaci powieściowych. Dlatego, gdy pisarz każe tym postaciom kontaktować się z Rydzem Śmigłym, z Kasprzyckim, z Beckiem, ba, gdy stwarza sytuacje (jak np. sytuacja w Sztabie Generalnym), w których postaci powieściowe niejako determinują podporządkowane sobie postaci historyczne lub uczestniczą z nimi w dzianiu się akcji na równych prawach — w odbiorze czytelnika powstaje zamieszanie. Czytelnik musi albo zdegradować postaci historyczne do postaci powieściowych, albo postaci powieściowe traktować jako historyczne. W obydwu wypadkach popełni błąd, który jest konsekwencją błędu pisarza. Warto zastanowić się w przyszłych wydaniach nad usunięciem tego błędu.

W przyszłych wydaniach warto się także zastanowić nad ewentualnością przestudiowania książki ze stylistyczno-językowego punktu widzenia. Język „Września” stanowi jeden z jego walorów artystycznych. Żywy, rozedrganą pasją zawarcia w ostatecznym kształcie sądów jednoznacznych, bogaty w skrótowych

błyskach dowcipu, trafny w syntaktycznych zawężeniach — jest to język wytrawnego publicysty i wybitnego pisarza w jednej osobie. Putrament nie boi się ryzykownych neologizmów, nie cofa się przed zdrobnieniami, o charakterze zdecydowanie satyrycznym („ruszek”, „zdańko”, „przekonańko” itp.), a jednocześnie stać go na liryczną giętkość, poetycką żalność, pejzażową mgiełność, na słowa, które chciałyby niemal zapłakać ze wzruszenia, a w ostatniej dopiero chwili opanowują się i zaciskają męsko zęby (wczytajmy się choćby w rozdział trzynasty części drugiej)!

Ta zmienność klimatu językowego, jakościowa niemal odmiennost leksyki przebiega według wyraźnych linii podziału ideowego. Tam, gdzie mowa o sanacyjnych głupkach i zdrajcach, słowo aż się skręca z pasji satyrycznej, jest ostre, zjadliwe, gryzące, jak kwas. Wystarczy jednak przeniesienie uwagi pisarskiej na grupkę Krygiera i Walczaka, czy do pokoju Ignaca, by słowo miękkie, ściszało się jakoś, nabierało ciepła, pulsowało męsko skrywaną tklivością, falowało głębokim wzruszeniem.

Ta wrażliwość słowa jest wielką zaletą językowej książki wszędzie tam, gdzie ułatwia zajęcie właściwej postawy wobec opisywanych zjawisk. Ale czasami przejścia są zbyt gwałtowne, różnice klimatu językowego zbyt wyraźne i odczuwa się wtedy boleśnie brak jakichś pośrednich ogniw stylistycznych. I wtedy wyraźnie odcina się Putrament — publicystą od Putramenta — poety. Podkreśla to często zbyt przesadnie publicysta, który, zapominając jak gdyby o poccie, wyżywa się w leksyce typowo artykułowej, w neologizmach czy zdrobnieniach właściwszych raczej dla felietonu. Warto nad usunięciem tych chwila przy krych przysłów językowych pomyśleć przed przyszłym wydaniem „Września”.

Dla pisarza o tej inwencji i zdolności organizowania swego dzieła, jakimi wykazał się w ostatniej swojej książce Putrament zmiany te nie powinny być specjalnie trudnym problemem. A dzięki nim jeszcze pełniej mogłoby wystąpić inne bogactwo książki, bogactwo zgromadzonych w niej sytuacyjnych symboli i alegorii.

Nie jest to symbolizm metny czy alegoryzm abstrakcyjny. Putrament posiada wielką umiejętność nadawania konkretnym, realnym sytuacjom wartości znaków ogólnych. W konkretny analityczny potrafi wpiąć mądrość syntezy. Szczegół staje się trafny uogólnieniem. Indywidualne przechodzi w typowe. Jedno razowy układ zdarzeń zastyga we wzór o algebraicznej niemal ścisłości historycznej.

Wszystcy pamiętamy tytułowe opowiadanie z tomu nowel Putramenta pod tytułem „Święta kula”. We „Wrześniu” jest wiele epizodów równych swą siłą dramatyczną i symboliczną tamtej doskonałej noweli. Wystarczy wspomnieć raz jeszcze rozdział o Jasiu Przywidzie, historię Kaganą i Nowaką, opis kopania rowów, scenę z gatkami więziennymi, czy pierwsze przeżycia wojenne Markiewicza i skandal z tajemniczą skrzynką u dowódcy. A wszystko to siedzi w całości, gra w ogólnym układzie książki, rozwija jej wielokierunkową, bogatą, pasjonującą akcję.

\*

Suma tych wartości bilansuje się w głębokim przekonaniu, że Jerzy Putrament dał literaturze polskiej pierwszą pełną, rzetelną i ideowo i artystycznie kładącą o klęsce Polski sanacyjnej, rzetelną ideowo i artystycznie epos tragiczny o przegranej oszukanego narodu.

Zygmunt Lichniak

\*) Jerzy Putrament „Wrzesień”. Wydawnictwo Min. Obrony Narodowej, Warszawa, 1952, stron 322.

Alfred GERARD

**SIEDZAC** przy stole weselnym, goście nie przestawali wpatrywać się w oblubieńców.

— Patrzcie — powiedziała dziewczyna z przeciwka. Po raz pierwszy spojrzal na nią, jak na żonę.

W istocie Szymon przybliżył ku niej ceniastą swą twarz. Anna jednak cofnęła się odruchowo. Teraz śniadłość jego policzków ją przebijając w fosforyzującej bladeści jej twarzy, jakby nalanej smem, zielonawo nabrzmiałej od wina.

— Co to znaczy — zapytał się karia, który go z Anną skojarzył.

— Coś najwyraźniej przed tobą ukrywa — szepnęła malczki staruszek.



Dał jej do poznania, że już o tym wie i spłoszył ją nieopatrznie. Pojecha, że wynda mężowi coś odpowiadzieć. Widząc, że natęczyła szuka jej spojrzenia, próbowała unieść ostanijające ją przed nim powieki, lecz teraz dopiero na dobre go rozgniewała. Nie spodziewał się takich oczu. W godzinie uczy weselnej, zieleniły się czarno i obco, na pół obecne w tych stronach. By wreszcie odnaleźć się przy nim, dźwignęła ręce ku górze i przyłożyła je mocno do skroni. Wydało mu się, że kobiecość Anny przybrała teraz na siłę, dobiegł doń bowiem zapach jej wstydliwy i ciepły, przywodzący na myśl sól morską osiadającą na wargach. Lecz wino, którego jej dołał, nagle spogłowało w niej lek. Wzburzyła się znowu niechętna zapadającej już nocy.

Obrzymia czarna kobieta, patrząc na nią przez stół, powiedziała do swojej sąsiadki, że Anna nie dojrzała do życia w małżeństwie. Mówiąc to, zawarła w słowach widzenie wapiennej białości jej skóry w okolicy ramion zbyt słabo ożywionej krwią, miejscami jakby półżywej.

— Siedzi, jakby dźwigała swój ciężar — doszło doń z drugiej strony.

Uniosł głowę i szybko się w tym kierunku obejrzał, nie mógł jednak stwierdzić, kto się w ten sposób odezwał.

Nachyliwszy się, szepną spragniony, przelotnie dotknął jej szyi w tym miejscu, gdzie pulsowała, odpowiadając lekko uderzeniem serca. Wyczuł w nim przyspieszenie śmiertelne. Gniewnie poruszył wargami. Usłyszała, że wołał ją, poślubił w tym dniu, gdy po raz pierwszy zbiegli do podgórskiego jeziora, ścigani dźwiękami piszczałki. Jakże ostro przynaglał ich wtedy bek kozłów cwałujących wraz z nimi po stromym, skalistym osypującym się zboczku! Tam, wyżej, muzyka wzdymała przestrzeń tych gór i przesilało się wino unoszące ich ponad łakami. Trzymając się za ręce w księżycowym ośnieniu wysokim, biegli naprzeciw czarnych wód, przemierzali powietrzne otchłanie. Westchnęła, kiedy przy pomnił ten lot do kąpieli wśród nocy, przebiegającej swą miarę w ich ciałach. Lecz dziś wino nie zdolało rozwinąć w nich owej szybkości gorącej. Źródła nie uderzały do krwi.

Raz jeszcze usłowała wywołać tę przestrzeń drgającą w jej oczach i trochę głębiej ocetchnęła przy tym, aby się nią oszołomić. Wtedy spojrzal w tę stronę. Zobaczył śmiejący się Helikon, z którego wyskoczył w las i postanowił tę chwilę prześcignąć.

— Nie ma tego dziś we mnie — przyznała, raz jeszcze wymierzając przepaść tykołotnie przebiegła w śnie.

Dotknęła go tym do żywego. Poczuli, że nie jest raz dana i aż ośmielił z gniewu.

Anna odruchowo poprawiła włosy. Czoły ułożyły w ogrodzie. Z głę

bi lotnej wyłoniły się białe kolumny a pęd ich drgał ponad nimi, znacząc wysokość postaci.

Oblubieniec po raz trzeci wołał, aby dolano jej wina. Zniecierpliwiała go sług opieszalność. Dlaczego biegali na oślep, czymś najwyraźniej spłoszeni? Zauważył, że się na radzają. Teraz jeden za drugim podążał do przelotnego wesela.

Czarny człowiek tylko palcami strzepnął. Dziewczyna o podłużnych fioletowych oczach zdążyła go już rozdrażnić.

— Nie ma — wykrzyknął nareszcie. Rozłożył ręce i brzydki poślubił na twarzy. Gniewnie się od nich opędał. W chwilę po tym usłyszał kroki służby, głucho rozbrzmiewające pod ziemią.

— Chodzą, jak gdyby beczkom wybijali dna — powiedział czerwony grubas i łysa głowa zaświecił.

Cierpki zapach ziół doleciał do nich z ogrodu. Wokół złośliwie szepotała. Anna, zawstydzona, miała ochotę przestonąć twarz rękami. Nie potrafiła jednak unieść ich, gdy na nią patrzyli. Lek nocey wzmagał w niej głód odurzenia. Nie mogła znieść swego losu w stanie okrutnej trzeźwości. Usłyszał zgrzyt jej sandałów. Z całej siły zwarła kolana pod stołem.

Teraz goście zaglądali jej w oczy tak uparcie, że policzki zaczęły ją palić. Zażenowanie to jednak wzmagało jeszcze chłód ciała. Jego bolesną nieczułość. Oto muzyka, już w dzieciństwie przejmująca strachem, ją zageszczała tę noc, wynurzającą się z głębi ogrodu — Spójrz na swego męża — powiedziała Lilith, ogarniając ją ciepłym ramieniem. Być może pieńsza do strzegła ów przybór gniewu w nim. Doświadczały go teraz w dwójnasób, bo i biesiadnicy poczuli się buzyć.

— Cóż to — wina zabrakło? — pytali strojąc przy tym miny obelżywe. Ruda czterdziestolatka o twarzy podobnej do charta, ostentacyjnie podniosła pusty kielich do ust. Zadzwoń na o niego zębami. Ktoś ze służby pochylał się nad nią i szepnął, że już po wino poszli.

**ODCHODZAC**, ujrzał, jak jedna z kobiet wpatruje się w oblubieniec, niemal bliską placu. Teraz dopiero na dobre owidnął ją wstyd, potęgujący pragnienie ucieczki.

— Zabrakło! To bardzo zły znak — szepnęła doń uporeczywie, nie wiedząc, że go tym dobiła.

Wyglądało, że skoczy do oczu go spodarzowi wesela, lecz kiedy się z miejsca poderwał, serce wzburzyło w nim krew. Usiadł nie mogąc tchu złapać. Ostał przy tym. Znow patrzył na nią jak w noc.

— Wymyśl się stąd — myślała Anna — wtargnąć do głębi ogrodu. Była pewna, że mąż pójdzie za nią. Dlatego się nie ruszyła. Zoczył dyszących z pragnienia. W istocie wychylali się jakby z otchłani, już po wierzchu oznaczony ogniem, ryżo niebiescy na twarzy.

— Cóż to za wesela, na którym wargi schną? — usłyszał.

Od słów tych Szymon zatrząsał się i wzdręgnął. Patrzał w pusty, miedziasto rudziejący kielich a czczą ich okrutnie plekąca, poczęła mu się udzielać. Coraz głośniejszurali nogami. Wokoło wznagał się łoskot i szum. Już na śmierć zdunzeni, jeśli głośno ziewać.

— Trzeba być głupcem, żeby zapomnieć o winie! — Czerwony człowiek o nalanej twarzy palnął się dłonią w czoło, otworzył pyszczek karpia. Niedopici stygli już po trosze. Wielu od stołu powstało. Na czołach kobiet wystąpiły wątrobiane plamy. Policzki brzydki zapadły i kości wystąpiły na wierzchu. Znac było ślady paznokci, łamiących się do krwi na stole.

Ktoś spróbował wody i wypłuł ją z obrzydzeniem, udreżony wściekłością pragnienia. Złorzeczac krążyli bezwładnie. Wyglądali na pół uduszeni. W gorącym i dusznym obłoku sucha dopadła ich noc, zrodzona w piaskach pustyni, żółta i znieruchomiła. Zły czarny skwar nie ustawał. Najwyraźniej wznagał się znowu, choć ich opuszczało gorąco. O pomocy zziębli przerażliwie. Dojrzał, że już ogarnia ich senność, towarzysząca wypalaniu się jadów piekielnych. Służący w fioletowej szacie pochylał się z niedowierzaniem. Spojrzal na przelotnego wesela, który chrząknął i położył na twarzy. Złożył ręce na piersiach, lecz wreszcie kazał im iść. Ruszyli w kierunku studni ogrodowej. Dźwigając stągwie kamienne, obejmowali je ramionami a chłód skalny w ich ciałach przenikał.

Smukłe wzgórze znaczyły ich kroki, kłaskały liście palmowe i po głębiała się noc, wysączona ze źró

dła u szczytu. Długo trwało, nim napełnili je wszystkie do wierzchu i wtedy na nowo zabłysły oczy tych wód. Spłynął w nie cień winogrodu, owoce dobiły swych soków, prześcigając swą słodycz i moc.

— Gdzie jest służba? — pytano przy stole.

— Poszli po wodę — ktoś krzyknął, bielejący ze złości na rogu.

Ruda w pusty kielich dzwoniła zębami a sąsiedzi na przemian parskali. Lecz oto zaczął się powrót obciążonych. Idący na przodzie, spragniony nieznacznie stągwie przechylił. W usta mu chlusnęło. Półkając krzyknął raz i drugi. Próbowali, nie mogąc uwierzyć. Te raz wino zwolna wprawiało ich w ruch. Idąc, pochylali się szybko, czując jak ziemia wilgotna, coraz cięższe przyciąga ich głowy, a to stągwie zaważyły na nich, aż się z nimi zaczęli kołysać.

— Gdzie to było? — zapytał gospodarz — Jakżeście mogli zapomnieć? Roziskrzni podali mu kielich. Najpierw to wino powąchał, umoczył w nim wargi bezkrywkę, aż wreszcie głowę przechylił. Wtedy — głęboki haust!

Twarz mu się jąła odmieniać i pod skórą wzebrała różowo. Pijąc, zapomnieli tchu złapać. Zakrzusili się i zakaszkał.

Natychmiast kazał rozlewać, lecz stali jak zaczadzeni. Jeszcze wdychali aromat, przyspieszający w nich krew.

— Skąd się to wzięło? — powtórzył.

— Z wody — krzyknęli odchodząc.

Rzucił się w ślad za ostatnim. Potężnie kopnął go w tyłek. Nie znosi, aby zeń kpił. Ciekawość wznagała w nim gniew. Rozemśnianych do gości wypędził. Poprzedała ich dobra wiadomość. Ten czerwony z nalaną owidnął ją wyszedł służącym naprzeciw. Biesiadnicy wystali go naprzód.

**SŁYSZAC**, że będzie co pić, Anna od razu odzyskała oddech, uniosła głowę ku górze, rozjaśniona, przestała się wstydzić.

Zobaczyła, że za plecami męża stoł pochylony nad nim, żółty i bełkocący gospodarz. Coś mu tam szepnęła do ucha. Wreszcie odwołał go na bok. Szymon wstał od



stołu. Poszedł za nim w gąszcz pomiędzy kolumny i wodotryski, wieniecze przestrzeń ogrodu. Ten człowiek poprzedzał go. Na swoich krzywych nogach wyglądał na małego, lecz wytrymowa twarz jego wyogromniała w jaskrawych ciemnościach. Widziała, że krzywił się w drodze, jak gdyby czymś rozczalony. Gderał też. Stąpił do

ko. Stopami odrzucał kamienie. Zapach mokrej ziemi i wina siedzi za nim. Lecz oto poślizgnął się obaj. Odkryli pleśń pod nogami.

Patrzał na męża, który się oddalał, błyskając twarzą miedzianą. W tej chwili tylko się migał, smuklejszy niż kiedykolwiek, gniewny i spragniony. Rzemienie chrzęściło za nim. Gdy odeszli, gospodarz powiedział:

— Każdy człowiek stawia najpierw dobre wino, a gdy sobie podpija, wtedy podlejsze. Ty zaś dobre wino zachowałeś aż do tego czasu? — Koniecznie chciał wiedzieć, dlaczego? Zaglądając mu w oczy, mimo woli przybliżył twarz do jego ramienia. Raz jeszcze pociągnął nosem.

— Pachnie nią — przeszło mu nagłe przez głowę.

Szymon patrzył na niego, nic nie rozumiejąc. Już po raz trzeci zapewniał, że chowanie tych stągwi na koniec nie było jego zamiarem. Ale przez to jeszcze bardziej go rozgniewał i wpędził w stan podejrzenia.

— Oszukujecie mnie wszyscy — usłyszał od wietrzącego wciąż znowe złośliwa. Teraz Szymon miał dosyć. Po prostu na niego krzyknął: Cóż mogło mu na tym zależeć? Przecież on także się wstydział! Rozjąbrzony świadomością braku, cierpiął z powodu tych obelżywych grymasów. Stroili miny, to mniejsza, ale dziewczyna ostygła. Ostygła, gdy odurzenie zaledwie ją nawiedziło. Po tym przyszła ta nuda i chłód.

— Cóż ty sobie, durniu, wyobrażasz? Ze jaby umierzał w niej krew? — krzyżąc, tupał na niego nogami. Wówczas gospodarz, nieco przestraszony, wziął go łagodnie pod ramię i zaprowadził do stągwi, która pozostawili tu, w głębi ogrodu. Zaczepnął. Podał mu kubek rzeźbiony i chwile patrzył, jak pije. Najpierw mały łyżeczek. Coś długo te krople na języku wazył, oczy przymrużając. Stał teraz głęboko zaszuchany w siebie a słodki żar weń przenikał i tłumił zle upoienie. Przechyliwszy się głębiej, zaczął pić łapczywie aż do utraty tchu i z trudem usta oderwał. Czad zwierzęcy, pozostały po fantym najoju, zwolna zeń ucho dźi. Gospodarz czekał, spragniony pierwszego okrzyku i gestu. Kiedyż wypowie pełnie aromatu? Czy ja na nowo wyzwoli?

— Dlaczego nie nie mówisz? — krzyknął. Tamten wyraźnie onleciał. Bał się, że każdy oddech mo że w nim to ugasi. Usta rękami ostanął. W piersiach jego od nowa rozprzestrzeniało się nieskończone pragnienie. Bły w nich źródła gorące. Widok palm unoszący ku górze — ten widok uderzał do krwi. Lotność tańczoną wyzwał. Wracal, tłumiac w sobie wdę wysokiego skoku. Łżejszy niż kiedykolwiek, zasiał obok żony, której już wino nalano.

— Wypil natychmiast! — zawołał — zobaczysz! Nic ci nie powiem.

Wpatrzył się w nią. Nie ustawał. Pila jak dziecko bez wprawy, co chwila oblizując wargi. Nagle uniosła oczy ku górze. Wydawało się, że nadśluchuje, jeszcze nie wolna od leku. Lecz jego przestała już niecierpliwie owa dziewczęca pochłoniwość.

— Bez tego nie byłaby ładna — pomyślał.

Spojrzal na jej ręce śniade i de likabne, mocno stulone pod stołem. Złote cienie przebiegały po niej. Miała ochotę wstać. Oddychała jak gdyby wstępowała w nią wszystkie winnice tej ziemi. Owoce dobiwały swych najwyższych soków, szczyty piersi poczęły ją boleć. Bujność roślin, widoczna w wilgotnym rozchyleniu warg, niosła zapowiedź ośnienia. Wino już docierało do gości. Gospodarz kazał rozlewać, uwijali się więc pomiędzy nimi świecąc zielono i żółto.

Czerwony z nalaną twarzą pił ostrożnie. Nalał na dno kilka kropel. Z niedowierzaniem podniósł swój kielich do ust, lecz w miarę jak go przybliżał, oddech jego stawał się głębszy. Zanm wargi zanurzył, wachał to wino przez chwilę, żarliwie się, nim napawał. — Powonienie — powtórzył dwa razy — powonienie! Istnieje dla smaku. Przy tym tylko łypnął niebieskimi oczami. Patrząc z boku

# BENEFIS

ujrzeli przestrzeń błękitniejącą głą boko w zainawionych wronkiych żren'cach. Ten widok, bliski zawrotu głowy oszołomił siedzących naprzeciw. Ruda kobietka o szpiczastym pyszczku i zębach wieńcicznych piła jżk gdyby w natchnieniu, krafted jej zaczęła drgać, policzki stały się złotoróżowe.

**GOSPODARZ** miał siedzących. Przyzwalał go głośno ku sobie. Chcieli wiedzieć, skąd takie wino wytrzasnął.

— Nie powiem — odciął się ostro. Jeszcze nie był pewny.

— Nie mów, panie — doradzał mu mały służący z brodą po pas — nie mów i tak nie uwierza!

Usłyszało te słowa dwóch gości. Mężczyzna z koźlą głową, płowy i wymylny chwycił brodacza za łokieć.

Kacper — świsnął przez zęby — bierz go z drugiej strony.

Pochwyciwszy go między siebie, młodzi ludzie powstali ze swych miejsc. Odprowadzili go na bok, niespokojne ścigając spojrzenia.

— Nic nie ukrywam — bełkotał mały brodacz, badany przez nich za krzakami. — Opowiadałem każdemu, kto chciał. Drwili ze mnie, a gospodarz kopnął.



Z kwadrans trwało, zanim go przesłuchali. Mówiąc o stągwiach, napełnionych wodą, nagle przemieniona, przywoływał oczami swych współtowarzyszy.

— Byli tam ze mną. Niech świadcza.

Przepytawszy go, swoim zwyczajem podszli cicho w tę stronę, gdzie jeszcze niedawno siedział przy stole z uczniami.

— Wyszedł już — objaśnił ich czarny staruszek.

— Usłyszawszy to, zaczęli się z sobą naradzać.

— Przekonajmy się najpierw jak działa — zdecydował ten wymylny — Osadzimy to wino nad ranem! Mówiąc to mimo woli spojrzeli na oblubieńców.

— Przygląda się żonie, jakby jej nigdy nie widział — szepnął ktoś za ich plecami. W rzeczy samej, Szymon nie mógł się dosyć nadziwić. Te cienie, które tak lubił pod oczami Anny, niespodziewanie zniknęły. Figlarności jej, niemal dziecięca, przestonila owo cieżkie odurzenie, znane mu z początku uczy. Wstydliwa woń uleciała. Ustąpiło obrzmienie policzków i powiek, jakby zmysłem jej odjęta została władza skupienia ciemności. Widząc to, zauważył, że górna jej warga uniosła się lekko, jak u sarny, wyglądającej przez leśną gestwinę. Zaczepnęła tchu, a potem zwarła usta zazwyczaj rozchyłone i nieodmknęte. Przestała nimi oddychać. Ustały też niespokojne ruchy jej nóg, szurających co chwila pod stołem. Poznał, że strach w niej zanika. Jedynie zrywając zdziwionego unoszenia brwi w górę pozostał.

— Uważaj — szepnęła. — Patrzą na nas. Dojrzał tkliwość, przebiegająca w jej oczach. Można było przypuszczać, że skrywa nieznane wzruszenie.

— Kto patrzy? — zagadnął znie nacka.

— No któż by? Jak zawsze ci dwaj.

# ŻYCIĄ

Zdumony był odległością widzenia, która się w niej wyzwoliła. Idąc za jej wzrokiem, dostrzegł ich na pierwszym planie. W przestrzeni, biczowanej błyskawicami, poczuł światło, uderzające do krwi i zawstydzenie w jej oczach. Odwróciła się w blasku czerwonym, słysząc grom głuch, ożywający w niej jego bractwem.

Lecz Szymon nie rozumiał. Pochylił się w stronę sąsiada.

— Odcieleśniła mi się — powiedział. Mały człowieczek o przydymionej cerze, pełnej wątrobianych plam, podniósł na niego oczy kolory sarszanu miedzi. Postawił kielich na stole.

— Spójrz tylko! Zobacz co się z niej zrobiło!

— Jest jeszcze młodsza, niż była — usłyszał. Zniecierpliwiony zerknął nań złościwie.

— Szukał przyczyny w winie — doszło doń przez stół. Powiedziawszy to, karzeł założył nogę na nogę, usiadł bokiem i zaczął w jej stronę zezować. Przy tym twarz mu się trochę skurczyła. Zoczył, że ustępuje już lenkość, nieodmienne towarzysząca tym sprawom. Przepił do oblubienia. Chciał, żeby wina spróbowała razem. Łykając, patrzył mu w oczy. Do smaku wprost się odwołał. Przez chwilę pił, nie do siebie nie mówiąc. Szymon przyłgał wzrokiem do śniadych palców żony. Dotykała zielonej wazy greckiej, ciesząc się jej kształtem. Przyłapano na tym, momentalnie opuściła ręce na kolana.

— Ciekawy jestem, jak długo posiedzi spokojnie — przyszło mu do głowy. Zwolna opuszczając go świadomość tego, co było w niej gorączkowe i grzaskie.

Umaczał wargi w złocistym.

— Co czujesz — zapytał go karzeł, widząc że tego pociąga... Szymon sumiennie smakował. Zadarłszy głowę ku górze, pomyślał, że aromat ten w istocie jest niewyróżnialny. Uskrzydła, ale nie grzeje, pomyślał, ale odegnął te słowa. Głęboko je w sobie utulił.

— Nie daję ciężkich uderzeń, ani nie sięga do łez — rzekł karzeł głosem chrapliwym. Trochę się przy tym zakrzuszył.

— Ale za to wysoko unosz — skrzecząc gorączkowo i ręce począł zacierać.

— Nie poznaje Anny — powtarzał Szymon uparcie. — Jasność wstąpiła w nią teraz, nawet nie bardzo goraca.

— Co takiego? — Wysoka biała dziewczyna o niebieskich wytrzeszczonych oczach pochyliła się w stronę karzełka.

— Powtórz mi, co on powiedział?

— Że mu się przemieniła!

Spojrzeni na siebie i wtedy uczucie odurzającego spadania wystąpiło z nową gwałtownością. Czerwony opilec przybliżył obrzękłą twarz do niej.

— Mówimy o tym winie — parsknęła, zniecierpliwiona, że ją nagabuje.

— Właśnie zauważyłem — podchwycił. Zgarbił się i oparł ręce na kolanach, a gruby fioletowy łańcuch zachrzęścił na fioletowej odzieży.

— Nie daję tego, co zawsze — krzyknął na całe gardło i przeraził się własnego głosu.

— A czego byś chciał? — wpadła na niego z pasją.

— Nie czuję sam siebie — powiedział i mrugnął na nią porozumiewawczo.

— Tuściutkie ręce rozłożył.

— Może nareszcie wyschnie w tobie diabeł!

**S**ZYMON odstawił kielich. Zwróciwszy się ku niej, zobaczył, że Anna powstaje. Przystąpił do niej, jak gdyby uderzył w jej głowę. Tętno w jej łonie wzbrzmiało, a z nią potrzeba ruchu. Była pewna że jeśli teraz zginie mały rozpad, z łatwością wstąpił przez stół. Każdy oddech unosił ją wyżej. Wymknawszy się z pomiędzy nich, sama przeszła usługując gościom. Lejąc wino, zaczęła im się udzielać. Zauważyła, że ruda czterdziestolatka

nie odrywa oczu od jej nóg. Usiłując pochwyć rytm tych, znała ożywiających ją kroków kołysała się niemal bezwzględnie. Widać było jak ją Anna w przelocie uskrzy dla. Zoczywszy ją, miała ochotę się zerwać.

— W głowie mi się kręci, kiedy na nią patrzę — powiedziała do wielkiej i czarnej. Teraz obie czerpały z niej słodycz. Przeciąg gorący wezbrał w gardłach mężczyzny.

— Patrzcie — szepnął gospodarz wesela. — To rzeskość wszystkich źródeł. Szła, jakby ośmięta przez ramię, myśląc o oczyszczeniu, sięgającym już w głąb jej istoty.

— Nie ma ruchu, który by jej sprostał — przeszło przez myśl karia. Z tej chwili wywiązała się



łobność podniebna. Srebrne światło, ślizgające się po ciele Anny, było drżące w oczach dziewcząt gotowych jej szybkość prześcignąć. Porywała je za sobą przechodząc, bo już tańczyć chciały z nią razem i wysokie rozniecać płomień. Na to człowiek z koźlą głową powstał. Jemu też uderzyło do skroni. Nie czuł własnego ciężaru.

— Co ty robisz! — krzyknęła, chwytając rozbieranego za poły.

Przed własnym cieniem umykał.

— Jakże wzmacnia w nas życia gwałtowność — ryknął ktoś i podnieśli kielichy. Ogłuszające wesela! W istocie wypłynęli już chyba na głębie i nie jeden w powietrzu żęłował. W oczach: ośleń, otwierający otchłanie. Wstępowala w nich młodość bez żądzy, zaczęły się ślady złych lat, napój, ciągnący prosto od korzeni, śpiewających kolejno wyzwałał.

— Nie odurza, rozjaśnia — mówili — przywierając oczami do panien.

— Spróbujcie to pomieszać ze słowami Psalmu — poradził im nagłe karzełek.

Płając, wciąż wzbijał się wyżej, Lecz oni zwrócili się znów w stronę Anny, która wzburzyła krew w młodszych dziewczynach. Ocierali się o nią ukradkiem. Tylko jedna z nich, siedząca przy końcu stołu, ani razu się nie przybliżyła, bo Szymon miał być jej mężem. Nie spodziewał się nikt, że tu przyjdzie. Owa chętna przewrotna jeszcze żarzyła się w jej spojrzeniu czarnym i lepkiem. Opilec przysiadł się do niej. Obmawiała z nim Annę uparcie. Prześwieklona swym niedorzecznym pragnieniem, instynktownie porównywała ją ciągle ze sobą, byściec co mu się w niej spodobało. Przeciż była bledszą! Safira ceniła swą gorącą śniadość, boiała nad własną chudością.

— Mężczyźni — powiedziała do swego sąsiada — mężczyźni cenią w nas pełnię. N'estety, ja byłam od niej drobniejsza. Ale — dołała po chwili — my mamy jednakowo podkręcone oczy. Szymon lubi te naszą oprawę. Ona nas upodabnia.

Zwrócił jej uwagę na bezsensowność, przebijającą w śnieżnych rysach Anny.

— Przejdzie jej to po ślubie — żartował.

Zdawało mu się, że wie, dlaczego Safiry nie pojął. Była to uroda skazanej na grzech samotności.

— Twarz oblubienicy — powiedział — lśni inaczej niż ciało.

Patrząc, odnajdywała w niej coraz nowe znamiona słabości.

— Podejrzewam bezpłodność — usłyszał. — W każdym razie będzie rodzila z trudnością.

Zabrzmiało to jak przekleństwo. Drażniąc ją dalej, zapytał, czy uważa Annę za ładną. Nie odpowiedziała mu na to od razu. Przyjrzała się jej pod światło. Wypadło mu przyjać do wiadomości, że gdy była świeża i wypoczęta, sprawiała wrażenie drewnianej. Subtelność jej — zdaniem Safiry — wydobyło dopiero zmęczenie. Lecz przy tym oczy jej zrobiły się niepokojąco wypukłe, a włosy straciły połysk, zupełnie jak u umarłych.

— Nie mówi się tego na ślubie — skarcił ją i osadził. Wtedy przeszła do łagodniejszych spostrzeżeń. Stwierdziła, że Anna ma grubie kości, więc prawdopodobnie szybko się roztyje.

— Nie wiem, co będzie później — zaoponował — na razie ślicznie się rusza.

Minęła ich właśnie, otoczona korowodem dziewcząt. Zataczały się lekko z dzbanami na ramionach.

— Co oni widzą we mnie — zastanawiała się Anna.

Pochwyciwszy ich docieklive spojrzenia, zawstydzona, obejrzała się od stóp do głów. Strój weselny złościwie mienił się na niej. Poczuli się oczyszczona i wolna. Wpatrując się w nią, otwierali usta bezwiednie. Chciwie wdechali powietrze, opływające ją wokół.

— Spójrz, jakie ona ma dziś olbrzymie oczy!

— Zawsze tak brwi unosi, kiedy udaje niewinna — zauważyła Safira. Wpatrywała się w nią coraz czujniej i coraz gorzej, aby uchwycić ów moment zanikania grzechu, nieodłączny od uświelenia miłości. Gwałtowny tupot nóg rozległ się za plecami siedzących.

— Smakuje ci — zapytała, pochylając się nad przyjaciółką, Błada z wytrzeszczonymi oczami wyrzuciła ramiona ku górze. Nie mogła tego wyrazić. Chwyliła się obiema rękami za stół, zacisnęła powieki i parsknęła śmiechem.

— Nie mów — szepnęła — siadaj przy mnie. Posłuchaj, co oni gadają!

— Kości mam puste jak ptak — krzyczał gospodarz wesela.

— Mnie jak dotąd nic nie pomogło — skarżył się opilec, siedzący na rogu.

— Wypije rzekę a nie zadziwi się — powiedział karzeł o nim. — I ma nadzieję, że się Jordan wleje w gębę jego. Nie zdolał jednak dokończyć. Zagłuszył go brat Anny, prześcigający się w opowiadaniu:

— Wtedy on cisnął we mnie włócznią. Odrzuciłem ją jak ostrze błyskawicy, mieczem. Rozplynęła się, lecąc w powietrze. Ale to nie. Patrzcie: już nadlatuje kwadryga. Ledwem uskooczył przed kopyt. Padłem wgnieciony w kurz z jedną myślą: czy pancerz wytrzyma miazdzący ciężar tych kół, jak młoty bijących w galopie. Wóz mi nad głową przeleciał...

Głośny śmiech przetrwał tę mowę. Wszyscy spojrzeli w bok, gdzie jeden z gości począł meccować się z palmą. Szarpał ją z całej siły — widąc już przebrał swą miarę. Z koreniami chciał żywą wyciągać... Chwyciwszy ją, kręcił się w kółko, podążając za ruchem wszechrzeczy.

— Tego nie rozumiem — chichotała rezolutna panna. — Ostatnio nie ja sama weszłabym na drzewo, żeby się pochustać na jakiejś gietkłej gałęzi. Ale stać u dołu i tak za pień je tarmosić, to czysta męska przyjemność. Wszystkie młódki przyznały jej rację.

— Na miejscu tego chłopca — powiedziała ta szesnastoletnia — słęczyłabym do jeziora z najwyższymi wierchołkami tej skały. Nie wiedziałem jak w locie słodko przesywno powietrze! Ostatnie słowa wyboła kotala. Zrobiło się jej niedobrze. Ogrom, rozrastający się w pier-

siach aż mdlił. Zewsząd nadlatywały wciąż nowe przestrzenie.

— Wspinalem się wtedy po skałę — bredziła. — Biegł za mną a w kamieniu nie było już szczelin. Żadnego oparcia dla stóp. Zły wichher zdzierał mnie z góry. Myślałam, że spadnę na drzewa... I nawet teraz jeszcze...

Opierała głowę na rękach. Spostrzegła, że w miarę mowy dochodzi do siebie i siabnie.

**S**IEDZĄC odwrócony tyłem od ogrodu, Szymon poczuł ciepły wiatr na plecach. Zerwał się, aby stąd odejść, lecz kiedy miejsce zmienił, przekonał się lekko zdumiony, że towarzyszy mu w dalszym ciągu wzmoczone ciśnienie powietrza, które sprzyjało się wokół, rozniecając w nim ów porzywisty i odurzający szum, podobny do lotu gołębi. Krew rozpaliała w nim teraz gorące przeciagi. Gdy powstał, liście w oczach uniosły się wyżej i świeżość czerwień wezbrała. Przeniknięty ruchem ogarniającym go jakby od zewnątrz, zbliżył się do Anny, chwycił ją za rękę i pociągnął w zieloną głąb ogrodu. Idąc za nim, powierzała się smukłości kolumn, całym ciałem chłonec strzelistość kamienną.

— Patrzcie jak pojaśniała — szepotała.

— Gdzie tam? Wcale na niego nie patrzy!

— I wargi ma popękane.

— Ale obrzmienie na szyi jej zeszło.

Słyszając to, zwarła dłonie tak mocno, że od razu nabiegły jej krwi.

— Nie podoba mi się — oświadczył opilec lisy i czerwony. — Jeszcze ciągle za mało w niej panny. Coś mi na dziecko wygląda!

Oparszy głowę na lokciach, spoglądał na nią jak wół.

— To nie są ręce do pieszczot — skomstowała Safira, przyrównując jej palce do swoich.

— Ani do rozpalań ognia — mruknęła któraś z gospodyń.

— A do czego — zapytał karzełek.

— Raczej do wróżb i do rzeźby.

Przeszła obok dość mocno pochylona naprzód, jak gdyby za ciężarem piersi podążała. Choć wytykała jej, że się garbi, młodzi ludzie nie przestawali wystawiać jej ruchów, ruchów grającej w piłkę, tanecznych i rozgrywanych. Widać było, że się z gośćmi zaczyna oswajać. Skoro tylko znaleźli się w głębi ogrodu, przyłgała doń ruchem oczekującym. Zdziwienie powstało w nim, kiedy odkrył, że okoliczność ta przestała go niecierpliwie. Jeszcze próbował drwić w godznie, gdy wilgoć nocy złączyła go z chłodnym jej ciałem. Chciała wiedzieć, czy rozkosz może unicestwić w nich obecność Bożą?

— W małżeństwie — nie — odpowiedział.

Ale wątpiła wciąż jeszcze.

— Ślub — wyszeptala cichutko. — Jakież zaklęcia poprzedzić muszą pieszczoty, kiedy mdziej wiodąca do piekła?

Późna rosa osładała na niej.

— Popatrz, zacięłam się — powiedziała, ukazując zadraśnięty palec z kroplą krwi pierwszej i żywej. Oczy jej zrobiły się przy tym fglarne. Wyglądało, że już opuścił ją strach, drżała jednak, gdy na nią nie patrzył, pewna, że go zawiedzie. Był cały pragnieniem i oczekiwaniem, przekraczającym jej wiedzę o rzeczach. Wmawiała sobie, że nie potrafi mu sprostać. Czas przybliżający ku niej moc wyzwalającą już się na dobre prze silała.

— W tym stanie chyba niczego nie doznam — myślała. — Po cóż są słowa odczyniające nieczystość? Czy po to, aby nic nie czuć? Gdzież w takim razie smak wtajemniczenia? I co to zbliżenie oznacza? Wyteżyła słuch, by odnaleźć w sobie nikła choćby zapowiedź ekstazy, wylaniającej się jakby z uśmiechów i szepców z wstydliwych dziewczęcych napomknęła.

Spojrzał na nogi jej złączone z ziemią, przewodzące gorący szmer źródeł wtryskujących tu spód kamieni. Aż parno było od nich wokół, wilgotno jak w oranżerii. Patrzac dalej odnalazła ów widok żółto czerwonych skał, uwierdzających w miłosnym opozie.

— Tylko tyle, by stworzyć człowieka — przypomniała sobie dołębne i starcze przestrogi. Późne niewiasty z jej rodu gar-

dziły tym doświadczeniem. Czy ich rezygnacja z małżeństwa zrodziła się z wiary, że nikt z wszystkich pozostał w nim ślad tego, co przedtem było skazane? Aż dla czego nieczystość tkwi u źródeł życia? Jakim prawem wykleiśmy to, co tworzy nas i wyzwala?

Szymon powiedział to prawie brutalnie. Rozdrażniły go pytania Anny, gotowej już przywać go w siebie w stanie otuszenia i nieczystości, uznanej za rzecz najbardziej stosowną. Z jadalni dochodził głos brata, który opowiadał burze i jął ją do krzyku nateżać:

— Rozkolysane wczorzą wód jakby wezbrały mu w piersiach na nowo poruszone winem. Słuchając, ujrzeli okręt, ulatujący na żaglach ku górze i Szymon wspomniął tę podróż, rozbrzmiewająca w tych słowach zdolnych wywołać widziadła. Cśnienie wiatru wzmogło się jeszcze, gdy wstał i aż w głębi ogrodu widoczny jął wymachiwać rękami, prześcigając sam siebie w gadaniu. Jak niedgdyś znów przesadzał wodospady pedzace naprzeciw rozstępujących się pod nim otchłani. Odurzający przeciąg, słodko łechcący i ciepły, przeszedł przez ciało Anny. Wionął nią teraz na przestrzał. Zachłusnęła się lekko w ciemnościach. Ów stan przedziwnego uświelenia pragnień zdumiał ją i zastanowił. Miała ochotę na nowo przyrzedć się swojemu ciału, aby w nim ślad oczyszczenia odnaleźć. Była ciekawa, czy przeobraził się dreszcz przebiegający wzdłuż piersi i ramion.

Jaka będę wtedy, gdy mną na dobre owidnie? Nie przestawało jej to absorbować. W miejscu, gdzie otoczyły ich kwiaty sięgające nicledwie do ramion, ziemia uniosła się wyżej:

— Wyjść stąd co prędzej — myślała. — Opuścić ogrod, zagęszczający te noc tropikalną. Lecz kiedy na niego spojrziała, dziewczęcy lek przestał ją dawać. Nie wierząc, by już całkowicie przemiana, czekała, kiedy powróci. W jestocie bardziej przejmujący od trwogi, która ją wyczerpała, okazał się święty gład wina. W świetle dostrzegł jej skóre. Zatraciła już nieco swą białość szorstka i jakby wapienna, wygładziła się, poróżowiła. Wionęło od



niej solą morską. Cierzył się, że nie jest taka, jaka była na początku, gdy niedojrzała przedwcześnie odurzył.

Zakaszła raz. Zobaczył, że się uśmiecha.

— Chrypka mi przesza — usłyszał. W tej chwili rzeć można odzyskała swój głos wysoki i czysty.

— Dziewictwo jest piękne — powiedział. Nie chciał wzbudzić na-przód Powściągnął bieg swego uragienia.

— Bądź sobą — powtarzał cichutko. — Możesz być taka, jak chcesz.

— Och, nigdy nie dotknę się kuchni! — wznęła. Rozemnielił się przwtem oboje. Teraz temu zależało na tym, aby przedłużyć ów stan figlarnego cniemienia. W tej chwili, kiedy był taki jak chciał, wyłał jej się, że ostwał i zubożniał. Będ może wolała nawet, aby ją dalej przerażał, albowiem gwałtowność tego była w jej oczach normalna. Tak oto na dobre ją zdezorientował. Poczuli się od nowa zrebubiona przy nim. Zagubiona i brnąca na oślep.

(Dokończenie nastąpi)

# Współczesna plastyka polska



Włodzimierz Bartoszewicz — bł. Kinga i św. Barbara

staci tego świętego. Obraz skomponowany jest w schemacie litery I. Święty Franciszek — wbrew tradycjom — jest u Gepperta dość zażywnym mężczyzną, chociaż zwykle przedstawia się go, jako spalonego przez wichry i słońce chudzielca. Również oblicze św. Franciszka, rumiane i raczej pikardyjskie niż włoskie odbiega od naszych zakorzenionych wyobrażeń.

Hanna Krzetuska-Geppertowa w swym dziele, przedstawiającym św. Stanisława Kostkę reprezentuje to samo credo artystyczne. Stąd podobieństwo obu obrazów.

Postać św. Stanisława podobnie jak św. Franciszka umieszczono w środku obrazu. Jak u Gepperta urokiem barw i kolorów czaruje Assyż, tak również w płótnie Geppertowej pięknym motywem jest zdala widniejąca panorama Rzymu. Koloryt ogólny jest jednak dużo ciemniejszy, może celowo, dla scharmonizowania z wielką czarną, zresztą ruchliwą i żywą, płamą sutanny św. Stanisława. Obraz cieszy się dużą popularnością wśród wiernych, którzy chętnie się przed nim modlą. Odznacza się on artystycznym umiarem i powagą treści.

Obraz „Św. Jana Chrzciciela“, dzieło Leona Gerżabka wyrasta z tej samej atmosfery artystycznej. Mimo odtworzenia postaci św. Jana Chrzciciela środkami współczesnego malarstwa, wyczuwa się w tym dziele jakieś powinowactwo z dziełami malarzy sescenta, przede wszystkim z płótnami Palmy Vecchia. Dzieło Gerżabka bezsprzecznie — dzięki bardzo pomysłowemu i dającemu wysokie zadowolenie estetyczne zestawieniu kolorów, dzięki bezbłędnej kompozycji obrazu stanowi pozycję szczególnie wartościową wśród płócien wrocławskich.

Dodać trzeba, że Gerżabek był jedynym (poza Bartoszewiczem) artystą, który wziął pod uwagę oprawę obrazu. Jest nią ołtarz późnobarokowy o kolumnach sinoszarzych ze złoczeniami kapiteli i figur. Jako odpowiednik do tych kolorów artysta wprowadził w swoim obrazie znaczne partie sinoszare na niebie i złotolite partie na ciele św. Jana i na welnie Baranka.

Zupełnie inny jest obraz Stanisława Dawskiego. Przedstawia on św. św. Piotra i Pawła. Stanisław Dawski jest znanym grafikiem i rysownikiem. Można by się spodziewać, że dążyć on będzie do wywołania efektu przede wszystkim rysunkiem. Tymczasem między rysunkiem a kolorem w sensie oddziaływania ich na widza jest w płótnie Dawskiego pełna harmonia. Rysunek jest bardzo nieskomplikowany, jakgdyby nieco prymitywny i naiwny. Nawiązuje zupełnie wyraźnie do rysunków najstarszych znaków drukarskich, z których jeden, słynnej firmy wydawniczej Stefana Balan z Lyonu, przedstawiał również św. św. Piotra i Pawła. Ta sama oszczędność kreski, ten sam wyraz dostojności i powagi. Sięgnięcie przez Dawskiego w rysunku po sprymityzowaną, lecz czcigodną tradycję XVI wieku świadczy o świetnej intuicji twórcy i daje duży efekt. Żaden obraz spośród umiesz-

(Dokończenie ze str. 1)

czonych w katedrze nie posiada tyle powagi i mocy, ile mają w sobie postaci książąt Kościoła w obrazie Dawskiego. Oczywiście wrażenie to spowodowane jest nie tylko omówionym już wyżej rysunkiem, lecz również poważnym i wypracowanym kolorem.

Młody plastyk Wacław Błażejewski styczył płótno do ołtarza św. Anny oraz predellę przedstawiającą głowę św. Joachima. Tło ołtarza stanowi pejzaż, nieco naiwnie malowany, ze stylizowanymi kwiatami na pierwszym planie, przywołujący na myśl pejzaże Rousseau — le Donanier. Z pejzażem tym nie harmonizuje św.

skiego z Wrocławia, przedstawiające cud wskrzeszenia Piotrowina przez św. Stanisława. Realizm Pękalskiego różni się bardzo od naturalizmu Bartoszewicza. Pękalski zna wszystkie zdobycze impresjonizmu i kierunków późniejszych i obficie z nich czerpie. W głębi malowidła daje rdzennie polski, bliski Chetmońskiemu i Malczewskiemu, pejzaż. W obrazie czuje się dużo powietrza i przestrzeni. Całość cierpi na dwie usterki formalne: mało czytelny jest schemat kompozycji. Kolorystycznie obraz jest rozstrzelony na niezwykle dużą ilość barwnych plam.

Prócz malowideł ołtarzowych na ścianie zewnętrznej umieszczono obraz świątobliwego biskupa Nankiera. Jest to rekonstrukcja szesnasto-



Antoni Michałak — św. Jan Ewangelista

Anna wzorowana raczej na sztuce Odrodzenia.

Na zakończenie zostaje do omówienia płótno Stanisława Pękalskiego z Wrocławia, przedstawiające

wiecznego malowidła ściennego z krużganka jednego z kościołów krakowskich. Rekonstrukcji tej dokonał Kacper Pochwałski. Nie znam oryginału, lecz wydaje mi się, że Pochwałski oddał doskonale średniowieczny charakter malowidła. Gorzej z kolorytem. Koloryt jest nowoczesny. Stąd w obrazie powstaje pewna wewnętrzna sprzeczność pomiędzy średniowieczną linią a wyszukaną nowoczesną barwą.

Witraże Wojciechowskiego stanowią dzieła wysokiej klasy, o świetnie zestawionych barwach i niezwykle pomysłowych i pięknych zarysach kompozycyjnych. W tej chwili szereg artystów opracowuje projekty witraży do pozostałych okien. Już wkrótce będzie można o Archikatedrze wrocławskiej powiedzieć, że jest ona muzeum sztuki na Ziemiach Odzyskanych, ziemiach na zawsze zwróconych Macierzy.

Andrzej Jochelson

Stefan MARTHA

## Średniowieczna poezja świecka

PONIEWAŻ uwagi te będą zbiorem wspomnień i refleksji na marginesie — na wstępie podamy parę rzeczowych informacji o książce, by w ten sposób okupić honor omówienia.

„Biblioteka Narodowa“, nieoceniony przewodnik po szlakach literatury polskiej i obcej, wydała nowy tom: Średniowieczną poezję polską świecką w opracowaniu prof. Stefana Vrtel-Wierczyńskiego (Wrocław 1952). Nowy tom nie jest ściśle „nowy“, gdyż jest to już trzecie wydanie książki, która ukazała się jeszcze przed wojną. Wydanie obecne nie jest jednak prostym przedrukiem, przeciwnie zawiera istotne zmiany interpretacyjne w uwagach wstępnych, rozszerzone komentarze, objaśnienia, bibliografię, polskie przekłady źródeł łacińskich i inne udokonalenia świadczące o rzetelności i ambicji naukowej wydawcy.

Przeszło siedemdziesiąt stronowy wstęp jest przykładem trafnego pogodzenia ścisłości naukowej z postulatami przystępności. Pewne, dość specjalne rzeczy np. porównywanie utworów polskich z czeskimi zostały wsunięte do przypisów, i przez czytelnika nie filologa mogą być pominięte. Ów czytelnik, nie filolog, w którego imieniu najłatwiej mi przemawiać, pragnąłby obok cennego rozbioru utworów, także zwięzłego rysu kultury średniowiecznej i zarysu średniowiecznej literatury zachodnioeuropejskiej, — zdając sobie niestety sprawę, że te maksymalistyczne żądania przekraczają charakter wy-

dawnictwa. Wracając do wstępu podkreślić należy, że czyta go się świetnie i że stanowi on doskonale wprowadzenie. Ale najcenniejsze jest chyba to, że wydawca nie uległ umiłowemu przedmiotowi, lecz zajmuje wobec utworów wnikliwą postawę krytyczną.

Materiał podzielony został na pięć części połączonych syntetycznie tytułami: 1) „Początki naszej poezji świeckiej dokumentem literackim stosunków feudalnych w Polsce średniowiecznej“, — (rozdział ten zawiera m. in. „Wiersz Słoty o zachowaniu się przy stole“ i „Satyrę na leniwych chłopów“); 2) „Memento mori! Synteza i dewiza średniowiecznego poglądu na świat i ich odbicie w poezji. Tendencje umoralniające“ — (tutaj znajdujemy utwór na pograniczu poezji świeckiej i religijnej takie jak: słynna „Rozmowa Mistra Polikarpa ze Śmiercią“ najdłuższy nasz rymowany utwór, nabożną „Pieśń Sandomierzana“ czy krótki pelen naiwnej poezji wierszyk „Dusza z ciała wyleciała“). Ciekawy materiał przynosi rozdział następny zatytułowany „Wśród konfliktów polityczno-socjalnych“ („Wiersz o zamordowaniu Andrzeja Tęczyńskiego“ dokument walk mieszczaństwa ze szlachtą); odbiciem zaś sporów religijnych jest hussycka „Pieśń o Wklefio“. Część czwarta zatytułowana „Poezja plebejska żaków, scholarów, kleryków, kopistów, waganów, zawiera ułamki erotyków, listy miłosne, wiersze epigramatyczne, aforyzmy, przysłowia, marginalia. Ostatni roz-

dział „Pod znakiem dydaktyki“ daje wierszowy alfabet Parkosza, wokabulary wierszowane i czyjś jany czyli rymowane kalendarze. W dodatku garść bajek Biernata z Lublina — staropolskiego Ezopa.

\*

OMAWIANA książka nie jest normalną antologią wierszy. Świadom tego prof. Wierczyński pisze na wstępie: „Gdy mówimy o „poezji“ średniowiecznej, zwłaszcza świeckiej, uświadamiamy sobie oczywiście, że przeważnie nie jest to poezja w istnym tego słowa znaczeniu, objawiająca się artyzmem słowa i formy ale raczej — z małymi wyjątkami — proza rymowana, co najwyżej „wiersze“. Odtóż te „małe wyjątki“ godne są aby zainteresować nimi twórców.

Nasza tradycja poetycka nie sięga poza Kochanowskiego. Omiata się Średniowiecze jako okres, który w naszej literaturze nie daje żadnych twórczych podnięt\*). To prawda, że nie mamy ani eposu rycerskiego, ani opowieści o miłości, o śmierci jak „Pieśń o Rolandzie“ i „Tristan i Izolda“. Ale najlepsze utwory naszej średniowiecznej poezji świeckiej, świetne fragmenty „Rozmowy Mistra Polikarpa ze Śmiercią“, za którą stoi wielka zapładniająca wyobraźnię wizja świata, prostota liryczna wiersza „Dusza z ciała wyleciała“, jędrność i przejrzystość „Pieśni o Wklefio“, uroczyste fragmenty listów miłosnych,

\*) Pomijam tu osobne zagadnienie bogatej i czekającej jeszcze na artystyczne odkrycie wielkiej poezji misteryj i moralitetów.

owe westchnienia panny Eleny, do Kachniczki (...Ach mój kwiatku najrozkoszniejszy na twoim leżku białym kwitnący, a róża czerwona w posrodku, rącz mi dzisiaj wspomocy!...) — posiadają nie umniejszoną wiekami moc wzruszenia.

Aby dać przykład celnej poetycko eksploatacji pewnych motywów obrazów i nastrojów średniowiecznych wzbogaconych współczesną świadomością artystyczną przytoczymy fragment wiersza bardzo utalentowanej poetki średniego pokolenia Anny Świrszczyńskiej:

Gotowały się góry  
drzewa oliwne śpiewały barzo cudnie.  
Człowiek boży  
przyszedł ku dziewczkom w studniej.  
Kłaskały w ręce pagórki  
Szkłane gaje pleniły się w wietrze  
dziewkom z kanarkowych włośów  
kaple i brzęczy gęste powietrze.  
Zielona ryba  
Patrzy okiem z fryzowanej strugi  
Wykluwają się w niebie  
esenjonalne papugi.  
Osiwole wolały się dzicy  
Po górach — u oliwnego drzewa  
ulicą  
idzie widzący. Splew...  
... (Południe)

Wielkie efekty poetyckie daje tutaj nowoczesna ruchliwość wyobraźni połączona z naiwną, ciężką zmysłowością średniowieczną. Ale nie chodzi nam o wzory. Nie chodzi także o forsowanie jakichś sposobów poetyckiego widzenia. Chcieliśmy tylko zwrócić uwagę na pewną lekceważoną, ubogą ale nie bezwartościową epokę naszej literatury, w której można i trzeba szukać także artystycznych wzruszeń.

WŁODZIMIERZ WNUK  
Wiosna  
nad Motława  
Reportaże  
Inst. Wydawniczy PAX  
Cena Zł. 20.—

SP. WYD. „PAX“  
WZNOWIENIE WZNOWIENIE  
Antoni Gołubiew  
BOLESŁAW CHROBRY  
powieść  
komplet cztery tomy  
Cena zł 112.—

Wysła Biuro Sprzedaży Sp. Wyd. „PAX“, Warszawa, Mokra 43, po wpłaceniu należności na konto P. K. O. nr I-35



Sławomir BŁAUT

# POGŁOSY SCHEMATYZMU

**P**RZEGLĄDAJĄC katalogi wydawnicze ostatnich miesięcy możemy dostrzec wzmożone zainteresowanie pisarzy sprawami wiejskimi. Powieść wiejska, obok dominującej dotychczas powieści produkcyjnej, to zasadniczy nurt współczesnej prozy, nurt, który decydująco wpływa na ukształtowanie jej oblicza. Nie ma w tym nic dziwnego, bo przecież na terenie wsi szczególnie wyraziście zarysowuje się społeczny sens wypełniających nasze życie przeobrażeń. Sam fakt podjęcia aktualnego tematu dawno przestał być rewelacją i nie wystarcza do oceny pisarskiego wysiłku, bo użyteczność społeczna utworu jest w dużej mierze funkcją jego kształtu artystycznego. Wśród interesujących nas tytułów spośród książek o różnej wartości, o różnym stopniu dojrzałości artystycznej i zaangażowania politycznego autorów, o różnych zaletach i wadach (choć te ostatnie są najczęściej wspólne); dają one pewną skalę porównawczą, która ułatwia ustalenie i ocenę pojawiających się nowych utworów o tej tematyce. Pamiętając o tym, co dotąd napisano u nas o wsi, należy się zastanowić, jakie miejsce wśród powieści wiejskich zajmie debiut Dzisiaj-wa Kubalskiego „Świt”<sup>1</sup>.

Zakrzewek — tak się bowiem nazywa zbiorowy „bohater” powieści — to wieś zabita deskami, to świat niemal przez wszystkich zapomniany, a wskutek tego mocno opóźniony w swym rozwoju. „Stare” jest tu znacznie silniejsze i bardziej odporne i zuchwałe wobec prób jakichś zmian niż gdziekolwiek indziej.

## WYBORY AMERYKAŃSKIE

Dokończenie ze str. 4

czołowych przedstawicieli klikki republikańskiej, zwycięstwo jego nad Stevensonem było by bardziej problematyczne. Na rzecz Eisenhowera zagrała jego dotychczasowa „bezpartijność” i niezaangażowanie się poprzednio w rozgrywkach partyjno-personalnych. Poza tym dodać do tego trzeba reklamę, którą mu zrobiono jako dowódcy wojsk anglo-amerykańskich podczas drugiej wojny światowej.

Tak więc odpowiadając na postawione wstępnie pytanie, stwierdzić trzeba, że rezultaty wyborów amerykańskich tłumaczą się zdecydowanym potępieniem przez społeczeństwo dotychczasowych rządów demokratów, ciągiem do zyskownych i wpływowych stanowisk rządowych klienteli partii republikańskiej, odsuniętej od 20 lat od władzy, oraz w pewnym stopniu taktycznie zręczną desygnacją na kandydata republikańców luźnie z nimi związanego wodza z czasów drugiej wojny światowej, gen. Eisenhowera. Żadnej natomiast roli nie odegrała konkurencyjna programowa republikańców i demokratów, gdyż dużej i istotnej różnicy między nimi nie ma, nawet w sprawach metody i taktyki. Oba programy sprowadzają się do wspólnego mianownika polityki dążącej do realizowania hegemonii światowej imperializmu amerykańskiego.

Dlatego też zastąpienie demokratycznej ekipy rządzącej republikańską, co będzie miało miejsce w styczniu 1953 r., nie wprowadzi żadnej istotnej zmiany do polityki amerykańskiej. Będzie ona w dalszym ciągu zdecydowanie agresywna na zewnątrz i skrajnie reakcyjna na wewnątrz. Słynna przedwyborcza mowa Eisenhowera o polityce zagranicz-

kiej, tłumaczy więc w zarodku nieśmiało przebliski „nowego”. Ale taka stagnacja nie trwa wiecznie, bo życie nie znosi przeciwnych swoim prawom zatrzymań i cofnięć. I tu wreszcie docierają coraz silniejsze i wyraźniejsze odgłosy zataczających szerokie kręgi przemian, ludzie z Zakrzewka wychodzą poza opłotki rodzinnej wioski i chłoną to wszystko, co się dokoła dzieje. Przesiąkają buntem przeciw zastojowi gospodarczemu i przeciw przyżyciu wszędzie, tylko u nich w Zakrzewku żywotnym, formom mijającego porządku społecznego i wydają im bezwzględna walkę. Jest ich jednak niewiele, przeważnie młodzież; osamotnieni, nie mogą po zyskać nawet tych, o których sprawy chcą walczyć. Natomiast wszędzie siły wsteczne skupiają się wokół najbogatszego chłopca Zakrzewka, Grzelaka, który wykorzystuje swą przewagę gospodarczą nad całą wsią, — większa jej część jest od niego uzależniona — i zakorzenioną nieufnością chłopską wobec tego wszytkiego, co pachnie nowością, stawiając za pomocą złośliwej plotki całą gromadę przeciw kilku zapaleńcom.

Ale zapal Pajdziaka, Chojnackiego i Kosiorka nie był słomianym ogniem, lecz nieustępliwą wolą prowadzenia swych zamiarów. Mactwa bogacza nawet na małym odcinku nie mogą zahamować biegu historii. Ta ciężka i twarda walka, walka — tego niestety w „Świcie” nie znajdziemy — której punkt ciężkości spoczywa w człowieku, walka o przebudowę jego psychiki, o poszerzenie horyzontów świadomości, przynosi zwycięstwo sprawie słusznej. Tak wyglądałaby zasadnicza

linia tematyczna powieści, rusztowanie, które równie dobrze mogłoby posłużyć arcydziełu, jak i stać się nudnym schematem. Dlaczego w „Świcie” znajdujemy to drugie? Od powiedź, wskazująca źródła niepowodzeń autora, jest niezmienna, wspólna wielu współczesnym powieściom: wąski zasób życiowych doświadczeń, niedostatek wiedzy o świecie, nieumiejętność artystycznego spojrzenia i działania. A to są konstruktywne momenty schematyzmu.

„Świt” robi wrażenie surowej, nie ociosanej bryły nieprzetworzonego materiału. Czytając książkę Kubalskiego długo nie można zorientować się, o co autorowi chodzi. Niewprawnymi rękami stara się zawiązać węzeł dramatyczny, aby stał się ośrodkiem powieści, ale nie co chwila wy myka się, a akcja przecieka przez palce. Wydarzenia nie stanowią zwar tego ciągu, bo nie łączy ich wspólna linia rozwojowa, lecz rozprzaskają się na niezależne od siebie cząsteczki. Nietąd ten zmienia się nieco, mniej więcej od połowy książki, kiedy po uporaniu się z „węzłowymi” kłopotami wylania się wreszcie jakiś kie runek akcji, ale wobec jaskrawego rozstawienia czarno-białych akcentów, a przez to uproszczenia i nawet wykluczenia wszelkich powikłań, nie prowadzi do przełamania monotonnej jednostajności.

Przyjrzyjmy się przez chwilę wprowadzonym przez Kubalskiego ludziom. Są to tylko nazwiska, poparte jedynie prymitywną etykietą socjologiczną. Nazwiska, za którymi się nic nie kryje mieszają się i trudno jest doprawdy odróżnić Pajdziaka od Chojnackiego, Kosiorka od Kłosa, Pajdzinę od Redziny itd. Wie lość świata opiera się przede wszystkim na zróżnicowaniu i złożoności człowieka, jego reakcji, doznań i uczuć, na odrębności i niepowtarzalności jego psychiki, na dynamice jego ciągłego stawania się. W zaszewianiu się i przenikaniu wspólnych i odmiennych wartości, w zestrojeniu ich i poddaniu wspólnemu celowi realizuje się jedność świata. Pokazać tę jedność w wielości, to naczelne zadanie pisarza, zadanie, które można ukazać jedynie przez człowieka. Jaką wiedzę o życiu przekaże nam książka, w której „żyją” pozbawione własnej twarzy makiety, odarte z samodzielnego myślenia, działania, odczuwania i z życia osobistego, a wszelkie linie podziału przebiegają prosto, z geometryczną ścisłością. Każdy człowiek wobec tego, co się dzieje, zajmuje jakąś postawę, ma o tym jakiś własny sąd. Każdy musi być przekonany, — choćby w wąskim rozumieniu — o słuszności sprawy, o którą walczy. Tymczasem w powieści Kubalskiego ludzie znaczą bardzo niewiele, a to, co jest tylko środkiem, co ma służyć ludziom, staje się celem samym w sobie, odwracając rzeczywiste proporcje. A przecież i w prostym świecie „Świtu” kryje się materiał na ciekawe konflikty indywidualne, że wymienię sprawę Wojdyny czy Przedackiego, tylko autor nie umie na nie trafnie spojrzeć i właściwie ich ustawić.

Parę słów należy się duszącej atmosferze powieści. Nie ma tu nic pogody i radości życia, której przecież nie wyklucza walka, jest tylko nadęta jednostajność pośpepnego nastroju. „Stare” w „Świcie” rzuca na wykluwające się „nowe” ponury, mroczny cień.

Powieść Kubalskiego jest dowodem zarówno zapóźnienia autora, jak i pewnej jeszcze żywotności bakcyla schematyzmu. Data 30 maja br. w metryce książki jako termin zakończenia prac nad nią świadczy o tym, że wydawnictwo nie wykorystało należycie wyników wielomiesięcznych dyskusji i sporów mających uzdrowić naszą prozę.

Andrzej Łepkowski

## PAMIĘCI ORNITOLOGA

Profesor zawsze otwierał osobiście.  
— Prosił do gabinetu.  
Z ciężkich wazonów potok liści  
wiązał się z perskim ornamentem.  
— Były storczyki i secesja,  
kraby i muszle rozmaite  
i sztuka kolorowych piemion.

Profesor nie lubił ubrań modnych  
— taksówek i telefonów.  
Na wykłady chodził  
najdalszą drogą.  
Nigdy nie używał słów gwałtownych.  
Na biurku Budda hebanowy  
wazył tę samą myśl pogodną.

Profesor był zupełnie siwy  
(Żółte zdjęcia w kasku tropikalnym  
zapamiętały jego czarną brodę)  
Przy kawie czekaliśmy na słoneczne nazwy  
— kolibry odległych wspomnień.  
Gdy nad północnym miastem  
błądził aromat akacji,  
profesor wychodził z nami  
na wieczorny spacer.  
Słuchaliśmy w parku słowików,  
— ptaków najbliższych.

## TRZY PTAKI DZIKI KACZOR

Nie odgadłbym cię tu...  
— Spłoszyłś mój krok zamyślony.  
W rowie, gdzie sztylet tataraku  
jeszcze w poehwie,  
— rozbiłeś lustro na białe paciorki.  
Stałem przykuty do twego lotu,  
— do najwyższego śpiewu skrzydeł.  
Odchodząc podniosłem z wody klejnocik;  
— piórko błękitne.



PEJZAŻ Z ZIMORODKIEM

Pojasnił...  
— I chmurom także było śpieszno.  
Wieczór stanął przezroczyście jak woda.  
Zobaczyłem rzekę z mostem — pierścieniem  
i cienie wież co odeszły.  
— Wtedy moją myśl niespokojną  
przeciął malachitowy pocisk:  
— zimorodek.  
Rzeką zaraz spłynęło niebo  
— pomarańczowa dobroć.



PAW

Paw jest jak posąg  
w fontannie piór niebieskich,  
który nie lęka się tęczy.  
Podczas gdy szumi piór wodospad  
— kolor jak metal dźwięczy.

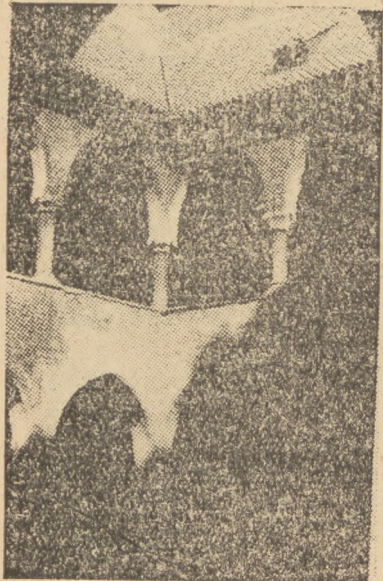
„Dawniej chodził po marmurowych poręczach,  
cały w szmaragdowym przepychu,  
Chociaż zatrzymał swój majestat,  
zżył się z dostatnym kurnikiem.

Józef DUŻYK

# TRZY DNI NA WARMII

TRZY dni i trzy miasta, trzy dokumenty polskości warmińskiej ziemi już na wskroś naszej. Smętek, który włókł się przez tę ziemię podczas długich lat niewoli — już uciekł.

Warmia przyciąga swym urokiem, jakimś innym niż pozostałych ziem czarem, piękną malowniczością, zakłętymi w kamieniu zabytkami przeszłości i nowym, na



Lidzbark Warmiński — Krużganki w dziedzińcu zamkowym

gruzach starego powstałym, życiem. Wszędzie widzimy to nowe życie. Widzimy je w odbudowujących się z ruin miastach, w wojewódzkim Olsztynie, w jego bibliotekach, archiwum czy muzeum i w pracy warmińskich działaczy na polu kultury. W gronie zbieraczy warmińskich pieśni, w kilka godzin po przyjeździe do Olsztyna, przeżyłem pełną wzruszeń i radosną chwilę. Widziałem jak dr Władysław Gębik i poeta Michał Łęgowski mozolną pracę wydobywają spod pyłu zapomnienia starą pieśń ludową Warmii. Stos kartek na stole świadczył o ogromie pracy, jaką wkładają ci ludzie, by znowu wydobyć pieśń ludową, puścić ją wydrukowaną w świat i pokazać wszystkim, że ta ziemia jest polska, nasza, że ją odzyskaliśmy prawnie i że przy nas ona musi pozostać. Świadczyć o tym będzie najważniejszy dokument polskości Warmii, jej dawna pieśń ludowa tworzona w polskim języku. W Olsztynie i w jego okolicach przeważała ludność mówiąca po polsku, w tym także języku ksiądz głosił kazania i lud śpiewał pieśni. Co czwartą niedzielę wygłaszano kazania po niemiecku. Ten stan zmieniły dopiero rządy Hitlera. Przyszedł zakaz głoszenia kazań po polsku.

We wrześniu bieżącego roku Olsztyn uczcił jednego z obrońców polskości tej ziemi, poetę ludowego — Michała Kajkę, zmarłego podczas wojny. Szczerzy, prosty poeta, tak szczerzy, jakim tylko i wyłącznie poeta ludowy być może, pisał Kajka z głębi serca idące słowa:

*Chociaż burza na nas goździ,  
Zasypuje nas zawieją,  
Jednak się raz wypogodzi,  
Błyśnie nową nam nadzieją.*

Codzienna gazeta wojewódzkiego miasta Warmii, „Głos Olsztyński”, przypominał na swych łamach tę piękną postać mazursko-warmińskiej ziemi. Emilia Biedrawina-Sukertowa, doskonała znawczyni mazurskich i warmińskich zagadnień, narysowała portret szlachetnej postaci, uwypuklając wielki patriotyzm poety i jego głęboki humanizm.

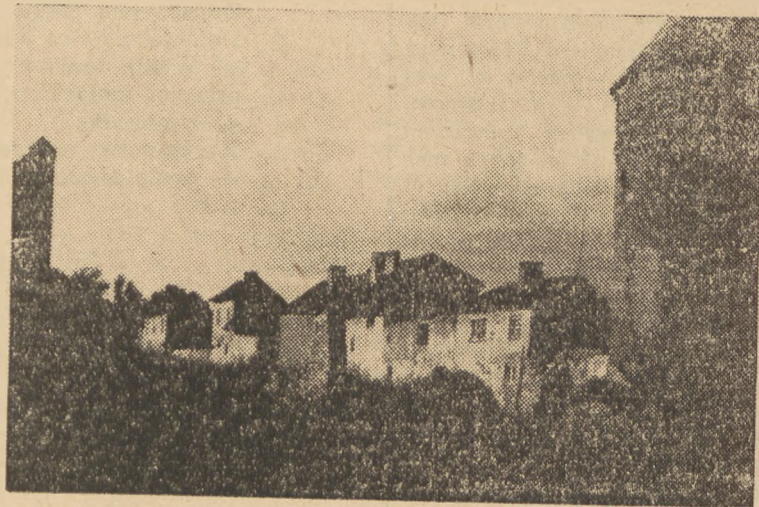
Snują się przeróżne myśli, gdy w letni, pochmurny dzień oglądamy Olsztyn. Staje człowiek przed Świętym Jakubem, patrzy zdumiony na kamienny szczyt z lunetami,

przez które przeziara szare niebo, zadziera w górę głowę przed Wysoką Bramą, opodal słyszy ruch, normalny miejski ruch, dzwoniący tramwaj, auto wrzeszczące klaksonem. Śmiesznie wyglądają małe domki przy kościele św. Jakuba, potężnej gotyckiej katedrze pochodzącej z XIV wieku. W Olsztynie szuka się nie tylko historii tego miasta, ale i historii warmińskiej ziemi. Myśli się o Koperniku, który bronił olsztyńskiego zamku przed Krzyżakami (dziś Olsztyn czci jego pamięć drukiem powieści radzieckiego pisarza Rewzina na łamach „Głosu Olsztyńskiego” i obrazem pędzla dyrektora tutejszego muzeum — Hieronima Skurpskiego) w wieży sterczącej do dziś nad miastem. Po stromych schodkach wspina się na jej szczyt. Z wąskich okienek rozkoszujemy się widokiem: złoto i purpura jesiennych liści sączy się w ulice obciążone guzikami domów. Srebrzysto-zieloną wstążką wiję się Łyna, by obmyć skraj zamku, przecisnąć się pod wiaduktem i popłynąć hen daleko. W olsztyńskim zamku, który dziś gości w swych murach muzeum, archiwum i bibliotekę, uczymy się Warmii. Uczymy się jej przyrody, jej historii, jej sztuki. W sali Kopernikowskiej i do niej przystępujących oglądamy sztukę bardziej wyrafinowaną, zawodową, w salach zaś wieży — ze wzruszeniem patrzymy na zabytki dawnej sztuki ludowej, a więc na obrazki na szkle malowane, na kafle z polskimi napisami i na precyzyjne w swej prostocie świątki Tu Madonna piętnastowieczna, tam Bóg Ojciec, tu Chrystus przydrożny z XVIII wieku i św. Anna Samotrzecia.

Trzy dni to niewiele na Warmię. Zobaczyć się tylko jej maleńką cząstkę. Trudno się zdecydować, co obrać za cel dalszej wędrowki. Jesienne dni nie pozwalają na całodzienne spacerowanie. Szary mrok, który spada na ziemię w godzinach popołudniowych opina przecież szalenie warmińskie zabytki, tak że widzisz jedynie ich kontury. Wybieramy więc po dłuższym namyśle

## LIDZBARK

JESZCZE snuły się mgły poranne i kładły się nad Łyną i Zymną, gdy wysiedliśmy z pociągu i poszliśmy oglądać miasto warmińskich biskupów. Wszędzie widać



Dobre Miasto — Baszta i stare domki na murach obronnych

ślady historii tak, że mimo woli przychodzi ochota nazwać Lidzbark nie mniej ni więcej tylko Krakowem warmińskim. Wyliczymy więc warmińskie cuda: zamek gotycki, fara czternastowieczna, średniowieczna Wysoka Brama, resztki murów obronnych, oranżeria Krasickiego i stare, bardzo stare kamieniczki.

Zamek zostawiamy na koniec. Najpierw oglądamy potężną gotycką Wysoką Bramę, która obecnie

gości schronisko dla turystów (tych tu wciąż za mało), farę i uroczyste stare domki. Kilka niedaleko Wysokiej Bramy w wąziutkiej, trochę brudnej uliczce, jeden przy ul. Klasztornej (podobno z wieku XV), jeszcze gdzieś dalej nieco nowsze. Stare lidzbarskie kamieniczki z wysuniętymi piętarkami to uroczyste zabytki miejskiego budownictwa. Obok zamku wydadają się one mizernym szczątkiem przeszłości. Niemniej jednak są doskonałą ilustracją życia prostych ludzi, którzy w cieniu wspaniałych gmachów wiodli swój skromny żywot. Na zamku był ruch, żyło się wystawnie, tu w tych kamieniczkach płynęło spokojne życie mieszczańskie. Czasem jakaś uroczystość rodzinna czy przyjacielski poczęstunek urozmaicał tydzień, poza tym było codzienne, szare życie i nieustanna pogoń za pieniądzem.

Od szarych, skromniutkich domków suniemy do zamku, owego lidzbarskiego cudu. Wielki czworobok opięty trzema wieżyczkami i wysoką basztą, to budowla z XIV wieku wzniesiona przez warmińskich biskupów. W XVII wieku biskup Wydzga dobudował od strony południowej barokowy — dziś już nie istniejący — pałac. W nim odtąd mieszkali polscy biskupi. „Diariusz z Heilsberga”, który wyszedł spod pióra ks. Michała Foxa, bibliotekarza Krasickiego, doskonale maluje tutejsze życie na przestrzeni lat 1790—1792. Diariusz pisał ks. Fox dla tęskniacej za Lidzbarkiem bratanicy Księcia Biskupa Warmińskiego Anny z Krasickich Charczewskiej, doskonałej malarki i ilustratorki wujowej „Monachomachii”. Zamek kipiał wtedy życiem. Książę Biskup, wytworny esteta, ulubiony poeta Stanisława Augusta, pełen błyskotliwego dowcipu, żył jak na biskupa przystało. Prowadził życie wystawne, reprezentacyjne, szumne. Przejścia, fety, koncerty były chlebem powszednim na lidzbarskim zamku. Oto pisze ks. Fox: „Rano wszyscyśmy pili kawę u X. Kremera, po kawie było wino, wódka, tort, co kto chciał”. Nie żalowało sobie. Jedzono pasztety z świeżych śledzi holenderskich, biskopty, baby, szynki, wędzonki.

Znakomity autor satyr i poematów kochał też przyrodę. Pisze o tym ks. Fox: „W następujący tydzień czas zawsze był piękny, y

Wszak w okresie jego rządów warmińskich powstały: „Myszeis”, „Monachomachia”, „Przypadki Doświadczynskiego”, „Satyry”, „Pan Podstoli”, „Bajki”, „Powieści”, najwspanialsze utwory Stanisławowskiego poety.

Wraz z odjazdem karety Krasickiego nikt nie pamięta lidzbarskiego zamku. Zamek pustoszeje, ogród zostaje zaniedbany i dziś już ani śladu z owej Encyklopedii drzew. Wspaniałemu zabytkowi gotyckiej sztuki potrzebna jest konserwacja i warto by jej dokonać. Aż oko cieszy prześlizgnięciem, czysty gotycki kruczyganek, piękne sale z żebrowymi sklepieniami i średniowiecznymi kamiennymi zdobiami, ładna kaplica z gwiaździstym sklepieniem i doskonale zachowane, o dwu kondygnacjach piwnice. Tu — przy świetle wypalających się szybko zapalek (towarzysz niestety zapomniał o latarce) — widzimy jak na najlepszym rysunku przedziwnie doskonałą architekturę zamku. Od gotyckich łuków piwnicznych przypierających do ziemi aż do niskich kolumn w parterowej sali i wysmukłych, eleganckich kolumn na pierwszym piętrze krużganków. Ma też zamek swe ponure zakamarki. Z ogromnej jasnej sali wchodzimy do ciemnej kłitki, w której mający czarny otwór i kolowrót do spuszczenia więźniów. Dokument feudalnego ucisku też znalazł swe miejsce w pięknym gotyckim budynku. Widać, że jeśli nie dochodzili do sklepionych sal. Zagłuszał je śmiech urzucających i zamkowa orkiestra.

Zamkowe wnętrza potrzebują restauracji. Przywrócić je należy do świetności i blasku i stworzyć tu muzeum, czy punkt dla historyków sztuki, artystów lub literatów. Trzeba wskrzesić nowe życie na gruzach starego, tak jak się to robi w niedalekim Olsztynie. Zainteresowanie się wspaniałym zabytkiem średniowiecznej sztuki, a zarazem zabytkiem polskości tej ziemi byłoby może najlepszym uczczeniem pamięci Krasickiego, poety, który wznosił się ponad swoich współczesnych i ostro spozjrzał na wady szlacheckiej Rzeczypospolitej.

Gdy spacerujemy „groblą filozofów” widzimy odbijające się w wodzie mury zamczyska i chylące swe korony drzewa. PKS przybywa punktualnie. Jest sobota, więc ruch nie byle jaki i sporo trudu kosztuje by wejść do autobusu i jako-tako przejechać do ostatniego punktu warmińskiej wędrowki, którym jest oddalone o 28 km od Olsztyna

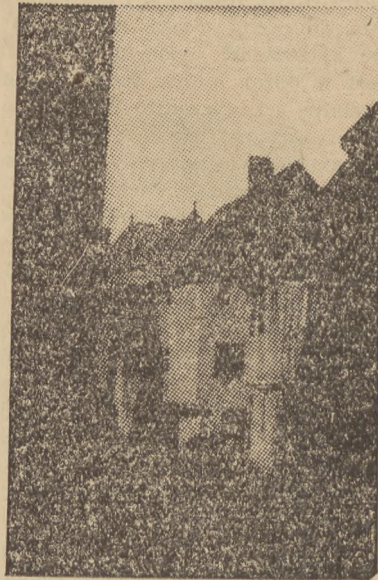
## DOBRE MIASTO

PRZYJEŻDZAMY tam w sam raz: jeszcze prawie trzy godziny do zmierzchu — tak, że spokojnie możemy oglądać zabytki wielkiej miłośnicy, w dużej części zniszczonej przez wojnę. Ciągłe te wspomnienia wojenne a zarazem ciągła troska o pokój i nieustanne pragnienie spokojnych dni w rytmie twórczej pracy.

W jesiennie niebo wrzyna się potężna wieżycą kolegiaty zbudowanej z końcem XIV wieku w stylu gotyckim. To największa atrakcja Dobrego Miasta.

Wnętrze kolegiaty — istne muzeum. Bo to nie tylko piękny czysty gotyk, ale przede wszystkim zbiór precyzyjnych zabytków sztuki średniowiecznej i baroku. Oglądamy tu gotycką rzeźbę św. Anny Samotrze

kiej, gotycki tróprętek, drewnianą Madonnę i ślicznie odnowioną rzeźbę Trójcy św. Rzeźba ta pochodzi podobno ze szkoły Stwoszwowskiej. A inne śliczności — to barokowa, bogato rzeźbiona ambona z XVII wieku i złociste baptysterium z roku około 1685 rzeźbione rękoma znakomitego artysty Izaaka Rigi. Warmia jest polska, tego nikt nie zaprzeczy. Człowiek styka się tutaj nie tylko z kancjonałami drukowanymi w polskim języku, ale i ze sztuką, która też jest polska. Oto



Lidzbark Warmiński — Stare kamienice

kolegiata w Dobrym Mieście posiada namacalny ślad tej polskości. Wielki ołtarz z r. 1748 jest wierną kopią wielkiego ołtarza z wawelskiej katedry. Wawel jest oddalony o setki kilometrów od Dobrego Miasta, a jednak w tej chwili, gdy stałem przed wielkim ołtarzem kolegiaty, wydawał się mi dziwnie bliski.

Dobre Miasto pokazało nam jeszcze średniowieczną basztę z gniazdem bocianim na szczycie, stare domki stojące w jej cieniu i barokowy kościółek św. Mikołaja.

Gdy zapadł zmrok i przez chmury przedarły się pierwsze gwiazdy, poszliśmy jeszcze raz do kolegiaty. Na pożegnanie. Akurat — tak się złożyło — elektrownia wyłączyła światło. Jak dla nas. Bo wspaniały gotyk kościoła wyglądał cudnie w mroku oświetlonym tylko płomykami świec.

A do Olsztyna jechał pociągami tłum młodzieży szkolnej, która wracała po pracy w polu. Z tak zwanych „wykoptów”. Uśmiechnięte, rozwrzeszczane śpiewem buzie, kipiące młodocia i zapalem, wnosili tu nowe życie. Młodzież obywatela Warmii czuli się tak dobrze, jak dobrze czują się ludzie tylko u siebie w domu. Wszak byli u siebie w domu, w swojej Warmii, w swojej — trzeba dodać — polskiej Warmii.

PO trzech dniach trzeba było odjeżdżać. Siąpił deszczyk, niebo krył zwał ciemnych chmur. Ulicami Olsztyna wiał zimny, północny wiatr. Trzeba było postawić kotłownię do góry i maszerować na stację.

Potem tylko gwizd lokomotywy, znak dyżurnego ruchu i ostatnie spojrzenie na sterczącą wieżę zamkową. Tę, w której się bronił Kopernik przed Krzyżakami w XVI wieku. Zostawialiśmy za sobą polski Olsztyn, polskich mieszkańców. A w serce wstępowała radość naprawdę szczerą radość. Z odzyskanej ziemi.

Józef Dużyk

Andrzej ODNOWA

# „Kąkol i pszenica”

SZTUKA „Kąkol i pszenica”, dzieło młodego, zdolnego aktora, Tadeusza Łomnickiego, powstała przed dwoma laty. Lecz życie nie odjęło jej aktualności, przeciwnie, jeszcze bodaj jej przydało. Mówi bowiem sztuka o spółdzielczości produkcyjnej na wsi, temacie, z którym dopiero doświadczenia ostatnich lat szerzej obeznali naszą publiczność. I w świetle tych doświadczeń ocenić dopiero można mądrość polityczną, zawartą w sztuce. Przedstawia ona osiągnięcia i perspektywy nowej wsi, ale nie ukrywa też trudności, obnaża śmiało popełniane na jej terenie błędy. Ta trafność politycznego spojrzenia autora sprawia, że „Kąkol i pszenica” nie przestaje być pozycją interesującą, nawet mimo jej rzucającej się w oczy niedoskonałości artystycznej.

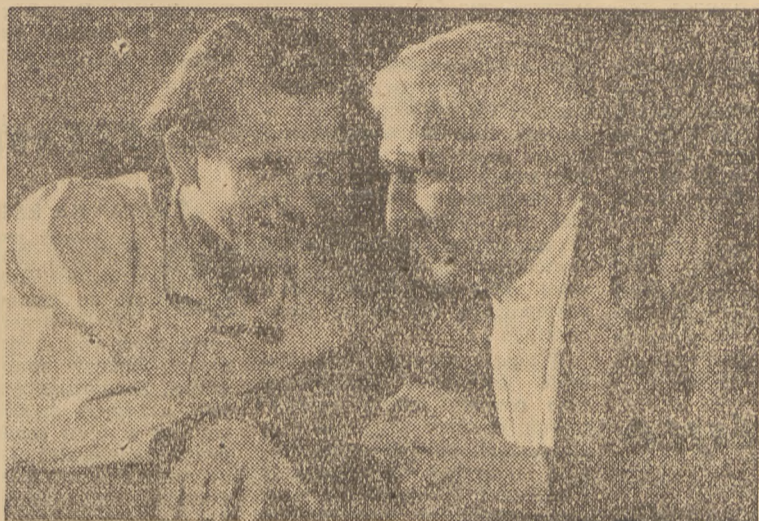
Niedoskonałość ta — jeśli pominąć język dialogów, za mało kolokwialny, zbyt inteligentki i upolityczniony — sprowadza się do jednego, choć zasadniczego błędu. Jest nim wątpliwość i niewyraźność obecnej w akcji intrygi: uporczywie i w sposób kłopotliwy wysuwa ona na czoło łatwy do rozszyfrowania czarny charakter. To niezbyt fortunne rozwiązanie konstrukcyjne akcji sztuki, widoczne zarówno w samym pomysłe jak i w szczegółach, choć osłabiło prawdę artystyczną i umniejszało prawdę ideową sztuki, nie mogło przecież zatrzeć pewnych niezaprzeczonych jej zalet.

Tkwia one w scenicznej sztuce, posiadającej szereg żywych scen zbiorowych i kameralnych o dużym napięciu, w rysunku kilku ciekawych postaci, przede wszystkim — skontrastowanych ze sobą i jak gdyby się uzupełniających — postaci ojca i syna Madejów. Pierwszy z nich, powolny, refleksyjny, wyrozumiały, bliski ludziom i przyrodzie, usabia nie tylko mądrość starości, ale i niedostatki postawy odchodzącego pokolenia, podczas gdy jego syn, niecierpliwy aktywista i entuzjasta, wyraża ducha nowej epoki, ale zarazem i niezmienną porywość młodości. Największą przecież zaletę „Kąkolu i pszenicy” stanowi przenikająca całą sztukę atmosfera szczerego i śmiałego politycznego spojrzenia. Autor ma nam sporo do powiedzenia o psychologii kierownictwa politycznego.

Łomnicki nie lekceważy przeciwnika klasowego, w rodzaju Kuby Ignorka, ale ukazuje niemniej szkodliwego wewnętrznego wroga w osobie przeprowadzającym społeczne przemiany. Mało tego. Dostrzega niebezpieczeństwo, grożące ze strony pewnych immanentnych tendencji samej władzy, którym jakby siłę ciążenia podlegają ludzie.

Wróg wewnętrzny, ów „kąkol” z tytułu sztuki, to koniunkturaliści i nadgorliwcy. Taki Wawrzek, negatywny jej bohater, potrafił jeden z pierwszych cichu zwać się z bogaczami,

szczyh zapisać się do organizowanej po spaleniu wsi spółdzielni, ale nie porzucił ducha prywatnej inicjatywy i kombinatorstwa, choć przesłania to zdwojonym werbalizmem na zebraniach. W rzeczywistości będzie on opóźniał proces przemiany, stanie się kulą w nogi jej bojowników, będzie



Państwowy Teatr Ludowy w W-wie. „Kąkol i pszenica” T. Łomnickiego. Na zdjęciu: H. Barwiński i T. Łomnicki w roli ojca i syna Madejów.

frazesami starannie zapewniając sobie alibi. Wawrzek, to typowy dwulicowiec.

O ile ujemna postać Wawrzka wypadła w „Kąkolu i pszenicy”, artystycznie słabiej, zbyt przejerzście, Józek Madej jako inne upostaciowanie wewnętrznej krytyki, którą przeprowadza Łomnicki, zarysowuje się przed nami jako postać złożona, bogata i pełna prawdy. Jest to typ narzucającego wszystkim swą wolę aktywisty, w oparciu o doktrynę prowadzącego sprawę spółdzielni produkcyjnej, ale czyniącemu to niejako ponad ludźmi. Ten młody przewodniczący spółdzielni to wyszkolony na kursach, mocny w teoretycznych zasadach pryncypalista, niemal doktryner, którego rozpięta energia i żądza czynu, który robiłby wszystko sam dla ludzi, choćby i wbrew ludzium. „Tudno mu jeszcze na życie przetrzymać, co w książkach przeczytał”. Nie rozumie, że „kursy kursami, a ludzie ludźmi”. Przeszedłszy przez szkołę dynamicznego miejskiego środowiska robotniczego zapomina, że na wsi ludzie „pomyślunek mają wolny”, niechętni do tego, co zbyt nagie...

Lecz Józek nie lubi ociągania ani sprzeciwu. Zarząd to on. Perspektywy nowej wsi: z POM-em, laboratorium rolniczym, kolejną, nowymi domami pod dachówką i „z elektryką”, wsi, która ma posiadać i wspólną pralnię, i dom kultury, i kino — wyzwalają w nim niecierpliwy dynamizm działacza, i to działacza pragnącego działać metodami kolektywnymi, planowo i skutecznie. Lecz jest to kolektywizm ogólny, niezwiązany z działaniem zespołowym, nie przejawiający się w wspólnych na-

radach, w stopniowym przezwyciężaniu nawyków indywidualistycznego myślenia. Józek Madej ma sam jeszcze sporo z tego samego, choć bezinteresownego, indywidualistycznego stylu i musi otrzymać niejedną nauczkę i od gromady, i od władz powiatowych, zanim do kolektywnych

celów nauczy się dostosować kolektywne współdziałanie. Ale w tej złożoności swego typu psychicznego, w tym pomieszaniu wielkich zalet i, sympatycznych zresztą, błędów młodości i czasu, wspaniale wyraża okres wielkiego przełomu, zachodzącego w naszym życiu i pojęciach. Zarazem jest przestrzegą przed błędami, które spowodować może nawet i awdziwa i chwalebna gorliwość. Ta postać Łomnickiego wydaje się jedną z najbardziej reprezentacyjnych postaci człowieka współczesnego w naszej powojennej dramaturgii i stanowi też najistotniejszą wartość „Kąkolu i pszenicy”.

Reżyseria Jana Świderskiego w Teatrze Ludowym miała poważne osiągnięcia w pierwszym akcie sztuki, w którym widoczna była bardzo staranna robota reżyserska, poparta przez wybornie nakreślone i odtworzone postacie ojca i syna Madejów. Henryk Barwiński jako ojciec stworzył postać niezwykle naturalną i ciepłą, pełną uroku i poezji, a niepozabawioną i dyskretnego humoru. Tadeusz Łomnicki, twórca sztuki i jej głównej postaci, wiał w tę ostatnią jako jej odtwórca wiele ambicji i uporczywie energii, chłopskiej fantazji i honorowości. Jego Józek Madej idzie przebojem nie tylko w pracy, ale i w miłości, lecz autor Łomnicki stworzył go pełnym człowiekiem, nie pozbawionym i ukrywanych wstydliwych wahań, przeczcucia popełnianych błędów, aktor zaś Łomnicki umiał interesująco podkreślić te odcienie.

W dalszych aktach (w drugim młody Madej nie występuje) reżyser nie potrafił rozproszyć tego czaru, który sypł na widowisko od mrocznej postaci Wawrzka. Może należało właśnie najmocniej obsadzić tę rolę, aby żywy aktor mógł nadać jej więcej prawdy, aniżeli posiada ona w kontekście akcji scenariusza. Przy obsadzie jedynie poprawnej (na premierze: Kazimierz Zarzycki) postaci Wawrzka nie przestawała być obciążeniem widowiska. W dalszych rolach ciekawie wypadł Artur Kwiatkowski jako kulak Ignorko, Teofil Ordoński, interesujący zwłaszcza w sylwetce, Zenon Laurentowski jako sekretarz partii Kozik — dwaj ostatni byli już co prawda raczej wsioymi inteligentami aniżeli typowymi chłopami. Słabiej wypadły role kobiece, szczególną sztafą odcinała się odtwórczyni roli Galisiakowej.

Scenografia Andrzeja Sadovskiego i muzyka Miry Wereszczyńskiej dobrze współgrały z całością przedstawienia, które mimo organicznego błędu samej sztuki, było jednym z bardziej ambitnych (liczna obsada) wśród spektakli Teatru Ludowego.

Stefan ZUROWSKI

# Dziennik Samuela Pepysa

Drukując niniejszy artykuł namieniiany, że do tematu tego wrócimy jeszcze w obszernej recenzji.

Redakcja

PRZYJEMNOŚĆ zapoznania się z „dziennikiem” Pepysa\* — jednym z najlepszych pamiętników o rozgłosie światowym, jaki zachował się do naszych czasów w niełkniętej formie — jest doprawdy wyjątkowa. Imci Samuel pisał go specjalnym szyfrem, więc też — nie obawiając się, by współcześni mogli tekst odczytać — pisał niezmiernie szczerze; zarówno przy wyrażaniu opinii o ówczesnej sytuacji politycznej, mocno burzliwej, jak również — opowiadając swe przygody erotyczne, wielce obfite.

Samuel Pepys pochodził ze zubożałej rodziny drobnej szlachty angielskiej. Niektórzy dalsi jego krewni posiadali jeszcze jakieś małe folwarczki w okolicy Cambridge, skąd Pepysowie pochodzili, ale ojciec Samuela był już tylko rzemieślnikiem, ubogim krawcem londyńskim, któremu z niemałym trudem przyszło wychowywać liczne potomstwo; toteż matka naszego autora dorabiała musiała praniem. — Samuel urodził się w roku 1633, umarł zaś w—1703. Od najmłodszych lat wyróżniał się wielką bystrością i niezwykłym sprytem, a cechy te łączył z ogromną pracowitością, oraz talentem współżycia z ludźmi, umiał bowiem wykorzystywać wrodzony wdzięk osobisty. — Dzięki uzyskanemu stypendium skończył studia w sławnym Cambridge, gdzie przebywał w Magdalene College. Miłość dla swego College'u zachował przez całe życie — świadczy o tym choćby fakt, że w testamencie zapisał mu swój bogaty zbiór książek, obrazów, rycin i rękopisów. Wśród nich właśnie znaleziono jego „Dziennik”. Dopiero w XIX wieku odkryto w innych papierach klucz do swojej stenografii Pepysa, więc przez półtora wieku pamiętniki jego pozostały nieznanne. Leżały spokojnie w Magdalene College, gdzie też przebywają do chwili obecnej pomiędzy innymi „Pepysianami”, które Anglicy przechowują nader pieczołowicie.

Pamiętniki obejmują okres od 1660 do 1669 roku — okres niezwykle interesujący. Jest to bowiem pierwsze dziesięciolecie Restauracji Stuartów po upadku republiki ustanowionej przez rewolucję 1640 roku, której szczytowym momentem było skazanie na śmierć Karola I i jego ścięcie w Londynie, 30 stycznia 1649 r. Po śmierci dyktatora Cromwella (3.X.1658) nie ma innej, równie wybitnej indywidualności, władza znajduje się „na ulicy”, a nowy Parlament o składzie prezbiteriańsko-royalistycznym uchwała przywrócić monarchii i powołuje na tron Karola II, syna Karola I, bawiącego dotychczas na wygnaniu w Holandii. W tym oto czasie Pepys rozpoczyna pisanie swego pamiętnika. Ma on niespełna 27 lat, posiada wykształcenie, włada kilkoma językami (rzecz wówczas niezwykła), jest pracowity, zdolny, sprytny, miły. Rozpoczyna swoją karierę u boku dalekiego krewnego, Edwarda Montagu. Jego protektor, osobisty niedyś przyjaciel Olivera Cromwella, komendant floty republikańskiej, a potem uczestnik przewrotu royalistycznego i późniejszy admirał królewski — po Restauracji Stuartów zostaje obdarzony tytułem lorda i otwiera ród lordów Sandwich. Widzimy, iż pan Samuel ulokował się — jako sekretarz osobisty sir Edwarda — weale nieźle; pomogło mu to znakomicie w jego dalszej karierze. A dało mu również znakomity punkt obserwacyjny i możliwość opisanego w swoim „Dzienniku” — „tych wszystkich wydarzeń, które nie każdemu dane byłoby oglądać. Pamiętniki więc jego mogą być i są cennym źródłem historycznym dla badaczy tej epoki.

Po powrocie Karola II do Anglii — a podróży króla opowiada Pepys szczegółowo — mianowano pana Samuela sekretarzem Urzędu Marynarki i wchodzi on do Tajnej Rady Królewskiej jako szef kancelarii. Później zaś zostaje również członkiem i skarbnikiem Komisji do Spraw Tangeru, a w czasie wojny angielsko-holenderskiej piastuje po nadto urząd nadzorca Zaopatrzenia Floty. Całe życie urzędnicze i cała kariera administracyjna Pepysa skoncentrowały się na sprawach morskich, ściśle — na sprawach flo-

ty wojennej. Jego zasługi dla Anglii są w tej dziedzinie bardzo wybitne, przyznają to historycy angielscy, jak np. Arthur Bryant, który w ostatnich latach wydał czterotomowe dzieło poświęcone Pepysowi, nazywając go ojcem nowoczesnej Royal Navy oraz angielskiego Civil Service, przedmiotu dumy wszystkich Brytyczyków. Być może, Bryant przesadza trochę znaczenie pana Samuela, ale przytaczamy ten głos jako niezmiernie charakterystyczny dla popularności Pepysa jeszcze w naszych czasach.

Ogólnosiawiatowe jednak znaczenie zapewniły mu nie reformy administracji morskiej, lecz tomy jego „Dziennika”, które od połowy XIX w. zaczęły ukazywać się w coraz to staranniejszych wydaniach. Początkowo bywały one okrojone, soczystość bowiem opisów i szczerść za pisów pana Samuela raziły poczucie skromności pełnego prudencji społeczeństwa wiktoriańskiej Anglii. Pełne więc wydanie „Dziennika” — 10 tomów — pochodzi dopiero z roku 1893, czyli zdecydowano się na nie w 71 lat po wydaniu pierwszym, sprowadzonym wówczas za ledwie do jednego tomiku „Dziennik” Pepysa wznowiono w całości w 1948 r., jest to jednym więcej świadectwem niesłabnącego zainteresowania osobą pana Samuela.

Jak to się już powiedziało — autor pamiętników z nieprzeciętną szczerością przenosi do nich swoje myśli i czyny, nawet te — nie przy noszące chwaly ich sprawy. Przemilczać tu nie można, że Pepys obdarzony był niewątpliwym talentem literackim i lekkością pióra, co szczególnie widać przy lekturze opisu zarazy z r. 1665, która zdziesiątkowała ludność Londynu lub w opisie wielkiego pożaru stolicy (1666 r.). Zresztą i inna, pozornie najprostszą, codzienna zapiski „Dziennika” są wręcz pasjonujące. Umiejętność właściwej oceny ludzi, motywów ich postępowania, świetny zmysł obserwacyjny, umiejętność przedstawiania w kilku zdaniach spraw często zawiłych, unika nie banalu — o to niektóre z cech tego niezwykłego dzieła, które się uchowało z burzliwego wieku siedemnastego.

Ciekawa jest sylwetka Pepysa — taka, jaką możemy sobie odtworzyć z jego autocharakterystyki. Największą pasją autora pamiętników była chyba muzyka i literatura.

Ale nie tylko dzieła sztuki były przedmiotem zainteresowań pana Samuela. Był człowiekiem z krwi i kości, jurnym w całym tego słowa znaczeniu. Uganiał za ucieciami tego świata, nie stronił zatem i od kobiet. Przy całym jednak, niezmiernie bujnym, życiu erotycznym — Pepys nie odznaczał się taką rozwiązością i takim niepomowaniem, jakie cechowały Casanova, tego wielkiego amanta i autora nie mniejszych pamiętników, perły osiemnastowiecznego pamiętnikarstwa francuskiego. Toteż „Dziennik” Pepysa przewyższa bogactwem zainteresowań jego zapiski.

Z pewnością zadecydowała o tym chęć dorobku materialnego, posiadania pieniędzy. Był pan Samuel jak to dziś nazywamy, karierowiczem. Brał łapówki — co wówczas nikogo zbytnio dziwić nie mogło — ale brał je umiarkowanie; że zaś nie zaniedbywał „dobra monarszego” — szedł naprzód, nabierał znaczenia, bogacił się. Jest jakiś sympatyczny rys w tym jego karierowiczowie: pan Samuel niepozabawiony był fantazji. Lubił poweselić się z gośćmi, przepadał za podrózkami i zwiedzaniem nowych krajów czy miast, miał żylkę kolekcjonera.

Można by jeszcze długo mówić o panu Samuele. Można by nakreślić jego portret jako ojca hipokryzji angielskiej; można by spisać traktat o moralności minionych wieków; można by wreszcie, czym już z pewnością zajmie się kto inny, poświecić więcej miejsca analizie „Dziennika” od strony literackiej. Na razie jednak zamknijmy tę notatkę kilkoma komplementami, które należą się edytorom polskiego wydania dzieła Pepysa. Przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na bardzo wysoki poziom przekładu. Świeża pisarka, niebawymie staranna stylistka — Maria Dąbrowska — raz jeszcze odniósł pełny sukces. — Zasługa PIW-u jest zamieszanie — obok wstępu i przynależnych — posłowia prof. Juliana Hochfelda, który interesująco nakreślił obraz epoki Pepysa z punktu widzenia historiografii marksistowskiej. — Dwa tomy naszego wydania zdobi udana okładka Jadwigi Umiańskiej.

\* Samuel Pepys „Dziennik” — przełożyła Maria Dąbrowska PIW 1952.

## LIST DO REDAKCJI

W NRZE 42 (360) z 19. b.m. znajduje się rzecz (nie wiem, czy to można nazwać recenzją), gdzie mówi się o mojej pracy „Ks. Józef Szafranek, Trybun Ludu Śląskiego”. Umieszczono tam przy końcu słowa: „wszelkie zarzuty, jakie chciałby ktoś uczynić broszurce dr. Janiny Ender, ustają wobec faktu, że jest to wydanie popularne o przeznaczeniu informacyjnym”. Wynika z tego, że praca moja wymaga pobłażliwej oceny. Kiedy Akademia Umiejętności rozpisala konkurs na prace historyczne dotyczące Wiosny Ludów, to bynajmniej nie na popularne broszurki, ale na rzeczy ściśle na ukwie i źródłowe. W jury zasiadałby ktoś uczyć broszurce dr. Janiny Ender, ustają wobec faktu, że jest to wydanie popularne o przeznaczeniu informacyjnym”. Wynika z tego, że praca moja wymaga pobłażliwej oceny. Kiedy Akademia Umiejętności rozpisala konkurs na prace historyczne dotyczące Wiosny Ludów, to bynajmniej nie na popularne broszurki, ale na rzeczy ściśle na ukwie i źródłowe. W jury zasiadałby ktoś uczyć broszurce dr. Janiny Ender, ustają wobec faktu, że jest to wydanie popularne o przeznaczeniu informacyjnym”.

Szkoda, że p. Kw. nie czytał wdrożenie wykazu materiałów na str. 56—60 mojej pracy. Przekonałby się wówczas, że od daty urodzenia aż do daty śmierci ks. Szafranka wszystko jest oparte na dokumentach źródłowych.

Praca moja, aczkolwiek niewielka rozmiarami, nie zasługuje na nazwę popularnej broszurki, zawiera bowiem zupełnie nowe, odkryte dopiero przeze mnie materiały.

O Kosieckim nie uważam za stosowne obszerniej pisać, gdyż nie należało to do tematu, a poza tym każdy, kto choć trochę interesował się historią Śląska, wie, kto był Karol Kosiecki.

Pan Kw. pisze, że błędów zercskich jest na szczęście niewiele. Nie, właśnie na niezczucie bardzo wiele, tak, że nawet sens niektórych zdań jest zupełnie wypaczony. Ale to już nie moja wina.

Proszę przyjąć wyrazy poważania  
Dr Janina Ender

